

STENDHAL

CZERWONE I

CZARNE

Stendhal

Czerwone i czarne

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55700425

Czerwone i czarne:

Аннотация

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

Содержание

| | |
|-----------------------------------|-----|
| Od tłumacza | 4 |
| I. Małe miasteczko | 32 |
| II. Mer | 37 |
| III. Mienie ubogich | 42 |
| IV. Ojciec i syn | 49 |
| V. Układy | 54 |
| VI. Nuda | 64 |
| VII. Powinowactwa z wyboru | 74 |
| VIII. Drobne wypadki | 88 |
| IX. Wieczór na wsi | 98 |
| X. Wielkie serce i mała dola | 108 |
| XI. Wieczór | 112 |
| XII. Podróż | 118 |
| XIII. Ażurowe pończochy | 126 |
| XIV. Angielskie nożyczki | 132 |
| XV. Pianie koguta | 136 |
| XVI. Nazajutrz | 141 |
| XVII. Pan wicemer | 147 |
| XVIII. Król w Verrières | 153 |
| XIX. Myśl rodzi cierpienie | 170 |
| Конец ознакомительного фрагмента. | 174 |

Czerwone i czarne

Od tłumacza

Na przełomie wieku XVIII i XIX widzimy dwie postacie będące zupełnym niemal przeciwieństwem: Chateaubriand i Stendhal. Jeden czerpie w dawnej Francji idee hierarchii, dyscypliny społecznej, powagi królewskiej, ale odświeża je tchem religijnego odrodzenia; drugi sięga w wiek XVIII swą bezreligijnością, materializmem filozoficznym, radykalizmem społecznym: ale i on spleca swój dług romantyzmowi epoki: staje się piewą energii, namiętności wcielonej w rapsod napoleoński. I w kolejach sławy tych dwóch ludzi cóż za różnica: Chateaubriand, bożyszczę za życia, dziś jakże opuszczony! Stendhal nieznany, może nawet z imienia, większości współczesnych, doczekał się w pół wieku po śmierci kapliczki skupiającej wybrane umysły.

Henryk Beyle (Stendhal) urodził się w Grenoble (w Delfinacie), w r. 1783, z rodziny urzędniczej ocierającej się o szlachectwo; matka jego miała nieco krwi włoskiej. Dzieciństwo chłopca było smutne. W siódmym roku traci ukochaną matkę; ojciec, odstręczający dla niego fizycznie i moralnie, nie umiał w dziecku obudzić miłości. Chłopiec chował się u dziadka,

lekarza, epikurejczyka-filozofa w typie XVIII w. Był to w domu jedyny człowiek, o którym Beyle zachował dobre wspomnienie. Malec wzrasta samotnie, z rówieśnikami nie wolno mu się bawić: od otoczenia czuje się zupełnie odmienny; żyje sam i tylko sobą. To uczucie odosobnienia, *różność* od innych, będzie mu towarzyszyło całe życie. Było to w epoce Terroru, niezbyt srogiego zresztą w Grenoble; rodzina Beyle żywiła tajemne sympatie monarchiczne, dzieciak był całą duszą rewolucjonistą. Sam pisze, iż chwila, w której przyszła wiadomość o straceniu króla, dała mu „jedną z najżywszych radości w życiu”¹. Rodzina pokładała nadzieje w armii emigrantów, on patrzył z zazdrością na piękne pułki dragonów ciągnące do Włoch.

Wyrwać się z Grenoble – której pamięć będzie mu zawsze nienawistna – to jedyne marzenie Henryka. Sława, a przez tę sławę miłość, oto jego ideał od wczesnej młodości. W tym celu studiuje żarliwie matematykę, w której kariera Bonapartego ukazała młodzieży francuskiej drogę do wielkości i sławy. Jakoż uzyskuje to, iż w 1799 r. rodzina wysyła go do Paryża dla dalszych studiów.

Przybywa opatrzony listem polecającym do krewnych Daru. Pan Daru był to surowy i suchy starzec, którego młody Beyle obchodził z daleka i z uszanowaniem. Starszy jego syn, Piotr Daru, był generalnym sekretarzem w ministerium wojny; później, jako hrabia Daru, miał się stać jednym z najczynniejszych pomocników Napoleona. Pierwsze wrażenie

¹ Sam pisze (...) życiu – [w:] *Życie Henryka Brulard* (Bibl. Boya). [przypis tłumacza]

Paryża było nieszczęgólne: rozczarowany, iż owe piękne chimery, które sobie roił, nie wyciągają doń ramion, chłopiec błąka się smutny i beczynny. (Dodajmy tu, iż Beyle był krępy, brzydki, jakkolwiek brzydotę jego okupowała żywość i oryginalność fizjonomii; był przy tym w stosunku do kobiet bardzo nieśmiały mimo donżuańskich teorii, które tworzył sobie całe życie). Wreszcie, rozchorowuje się. Rodzina Daru bierze go do siebie, a Piotr umieszcza go w swoim biurze.

Naraz w r. 1800 radosny zwrot: bracia Daru, powołani do Włoch do armii Bonapartego, polecają krewniakowi, aby pośpieszył za nimi. Siedemnastoletni chłopak, uszczęśliwiony, dosiada konia, jak umie, i przebywa przełęcz św. Bernarda w dwa dni po Bonapartem. Na domiar wrażenia po drodze pierwszy raz znalazł się w ogniu. Wieczorem, układając się do snu, szeptał sam do siebie słowa, które tak często miały mu wracać na usta: *To tylko tyle?*

Wejście do Mediolanu i pobyt w tym mieście wywarły na młodym Henryku wrazenie, pod którym miał zostać całe życie i które znalazło wyraz nawet na jego grobowym kamieniu. Miasto żyjące pod jarzmem Austrii w martwocie i nudzie z radością powitało w r. 1796 młodą armię francuską, której dwudziestosześcioletni generał był najstarszym żołnierzem! Beyle, nieśmiały i skrępowany w Paryżu, tu, w tym życiu włoskim, gwarnym, naturalnym, namiętym, czuje się w swoim żywiole. Kosztuje nieco bitwy pod Marengo, rychło zostaje podporucznikiem, pierwszy pojedynek, pierwsza miłość

(nieśmiała zresztą i platoniczna), słowem – pełnia życia.

Ale niedługo. Rychło znudzony obyczajami garnizonu, towarzystwem nieokrzesanych chwatów, Beyle zbyt często jak na młodego rycerzyka szuka pociechy w książkach. Wreszcie, korzystając z jakiejś niegroźnej choroby, bierze urlop, śpieszy do Paryża i zostaje tam. Od r. 1801 do 1806 pochłania go literatura: marzy o sławie, o „pisaniu komedyj jak Moliere”, czyta, – pracuje nad sobą, płodzi w pocie czoła liche wiersze. Wśród tego prawie aż do końca życia stale serce jego wypełnia miłość; przedmiot jej tylko zmienia się często. W tej epoce miłość do młodej aktorki Melanii Guilbert rzuciła go aż do Marsylii, gdzie spędził rok jako subiekt czy buchalter w sklepie kolonialnym!

Wróciwszy po tej eskapadzie do Paryża, Beyle, wciąż dzięki poparciu rodziny Daru, wstępuje do intendentury (było to w przededniu kampanii pruskiej) i odtąd pozostaje w służbie aż do odwrotu z Rosji. W karierze tej doszedł do wcale znacznych godności (był audytorem w Radzie Stanu etc.), a przy tym na włóczył się sporo po świecie. Jako intendent wojskowy okazał w trudnych okolicznościach wiele energii, odznaczył się w tak ważnym zadaniu zaopatrywania armii w odwrocie spod Moskwy, w czasie którego zjawiał się u swego szefa, hr. Daru, starannie ubrany i ogolony². Ale w pełni tej heroicznej epoki

² *Jako intendent wojskowy (...)* – Zaznaczyć tu jednak trzeba, iż anegdotyczne rysy tworzące „legendę stendhalowską” są nieraz dość wątpliwe, mimo iż pochodzą w znacznej części od niego samego. W obfitym materiale autobiograficznym krytyka notuje co krok mniejsze lub większe, mówiąc łagodnie, nieścisłości. Jest to ciekawy objaw, iż pisarze, którzy biorą pióro do ręki z potrzeby *szczerości*, błagają zwykle jak

Beyle znów czuje się sam i obcy, duch jego buja gdzieś daleko. W Smoleńsku marzy o Mediolanie; w Moskwie rzuca się na znaleziony angielski egzemplarz *Pawła i Wirginii*... Znów daje mu się we znaki towarzystwo *bohaterów*, powabniejszych pono dla artysty w historii, w poezji niż w życiu. „Wszystko tu jest grube, brudne, cuchnące fizycznie i moralnie” pisze do siostry ze Smoleńska. – „Jedyna moja przyjemność to słuchać trochę muzyki na rozstrojonym pianinie”... Ożywia go nieco pożar Moskwy. Ale pisze: „aby się tym rozkoszować, trzeba by być samemu albo w towarzystwie ludzi cywilizowanych. Dla mnie kampanię rosyjską zepsuło to, że ją odbyłem z ludźmi, którzy potrafiliby pomniejszyć Colosseum i Zatokę Neapolitańską”...

Odwrót spod Moskwy podkopał mocno zdrowie Beyle'a: w 1813 bierze urlop i śpieszy do Włoch. Już w czasie urlopu w 1811, Beyle odnalazł swój mediolański ideał sprzed lat jedenastu (Angela Pietragrua) i nawiązał wątek przerwanej miłości, tym razem śmielej i skuteczniej. Znalazłszy łaskawe przyjęcie, nasycony na długo heroizmem, nie chce słyszeć o niczym, co nie jest szczęściem i miłością. W miesiącu bitwy pod Lipskiem dziennik, który prowadził Stendhal, notuje jedynie drobne fakty dotyczące stosunku z Angelą!

I powrót cesarza z Elby nie zdołał wyrwać Beyle'a z jego wywczasów. Uważał snadź losy Napoleona za spełnione. Ostateczny upadek cesarstwa pogrzebał i wszystkie pomysły

najęci. Ale bo też nie koloryzować w swojej autobiografii jest to, zdaje się, zadanie nad siły ludzkie. [przypis tłumacza]

Stendhala; dość wesoło przyjmując tę odmianę fortuny, osiada we Włoszech, w kraju, w którym – jak gdzieś pisze – można bez hańby być biednym. W gruncie rzeczy w tym człowieku czynu zawsze tkwił kawał *dyletanta*, smakosza wrażeń, który tłukąc się z Wielką Armią, obnosił po Europie swą żywą i inteligentną ciekawość. Obecnie rozkoszuje się włoską muzyką, zwiedza miasta, kościoły, galerie, obraca się w towarzystwie włoskich patriotów, a przede wszystkim – kocha się. Po Angeli Pietragrua, która w końcu okazała się „niegodną”, posiadała jego serce Metylda Dembowska (z domu Viscontini), żona wiernego generała napoleońskiego. Miłość ta, bez wzajemności, bez nadziei, odpłacana najgorszą monetą, bo monetą „przyjaźni”, stanowiła przez kilka lat szczęście i udrękę Beyle'a; gwałtownie przerwana w r. 1821, stała się później natchnieniem książki *O miłości*.

W r. 1814 przypada pierwszy debiut w literaturze Stendhala, a raczej *Aleksandra Cezara Bombet*, jako że pod takim ukrył się pseudonimem. I dobrze zrobił, że się ukrył, książka jego bowiem *O Haydnie* okazała się zaczerpnięta, częściowo wręcz przełożona z *Haydinów* Carpaniego. Zrabowany autor podniósł krzyk, co dało powód do polemiki, dość przykrej dla tajemniczego Bombeta. W 1817 wydaje Beyle dwie książki: jedna to *Rzym, Neapol i Florencja* (pierwszy raz podpisana godłem *de Stendhal*, oficer kawalerii); druga to *Historia malarstwa we Włoszech*. Pierwszy utwór to opis podróży przeplatający drobiazgowo opisy uwagami i anegdotami, w których autor wciąż snuje paralele

między Włochami a Francją na niekorzyść swej ojczyzny. *Historia malarstwa* ujawnia niezwykle na owe czasy znajomość i odczucie włoskiego Odrodzenia; najbardziej jednak zajmującym rysem jest tu dedykacja, ofiarująca to dzieło. *J. Ces. Mości Napoleonowi Wielkiemu*, a zakończona tak:

„Oby, Najjaśniejszy Panie, niebo dało ci tyle życia, abyś mógł oglądać Francję szczęśliwą dzięki konstytucji, którą przekazał jej ostatni twój parlament. Wówczas, Najjaśniejszy Panie, przebaczy ci ona jedyny akt słabości, który ci może wyrzucać: to iż po Waterloo nie chwyciłeś w ręce dyktatury i zwątpiłeś o ratunku ojczyzny.

Wówczas potomność, odzyskawszy bezstronność spojrzenia, będzie się wahała jedynie, czy ma pomieścić twoje imię obok czy ponad imieniem Aleksandra, a twoi nędzni wrogowie będą znani światu jedynie dzięki temu, iż mieli szczęście być twymi wrogami.

Pozostaję, Najjaśniejszy Panie,
z najgłębszym uszanowaniem
Waszej Cesarskiej i Królewskiej Mości:
bardzo uniżonym i powolnym sługą
i poddanym, w swoim sercu,
żołnierzem, którego ująłeś za klapę surduta pod Görlitz”.

Dedykacja ta w 1817, w zaraniu Restauracji, kiedy nazwiska *Buonapartego* nie wymawiało się niemal bez akompaniamentu zniewag, była niewątpliwie aktem odwagi i charakteru. Zresztą,

obie książki przeszły dość niespostrzeżenie.

W r. 1821 Beyle traci ojca; śmierć ta zostawia go dość obojętnym; łączy się z nią zawód majątkowy: ojciec, który uchodził za zamożnego człowieka, okazał się niemal zrujnowany. Równocześnie spotyka pisarza drugi cios: policja austriacka, nierada jego stosunkom z patriotami włoskimi, wyprasza go z Mediolanu. Zostawiając serce i duszę we Włoszech przy ukochanej Metyldzie, Stendhal wraca do Paryża, którego nie lubił i gdzie nie znał prawie nikogo. W Paryżu zostanie aż do rewolucji lipcowej (1830), przerywając ten pobyt jedynie paru wycieczkami do Anglii.

Stendhal, jak większość rozbitków napoleońskich, zbliża się z liberałami; wchodzi w dom Destutta de Tracy, filozofa i pisarza, którego z dawna uwielbiał; poznaje Lafayette'a, Beniamina Constant i in. Miesza się w pierwsze utarczki romantyków i klasyków, i w broszurze swojej *Racine a Szekspir* (1823) rzuca głośną definicję: „Literatura klasyczna, to ta, która dawała największą sumę przyjemności naszym pradziadom; literatura romantyczna, to ta, która daje największą sumę przyjemności nam”. Mimo to Stendhal niewiele miał powinowactwa z budzącym się ruchem *romantycznym* we Francji; i tu, jak całe życie, pozostaje on odosobniony: a odrębność ta, która nie pozwoliła mu kosztować pełni uznania za życia, uczyniła go tym cenniejszym okazem dla potomnych.

Trudno o dosadniejszy przykład, jak niebezpiecznie jest w czasie masowych ruchów myśli chodzić oddzielnymi drogami.

Aby zwyciężyć, trzeba by mieć wytrwałość i upór Balzaca, a tych Stendhal, traktujący literaturę niejako na marginesie życia, nie posiadał. W 1822 wydaje książkę swoją *O miłości*: od 1822 do 1833, czyli przez jedenaście lat, sprzedano siedemnaście egzemplarzy! Stendhal czuje to odosobnienie i tym bardziej zasklepia się w niechęci do epoki. W r. 1824 wydaje *Życie Rossiniego*, w 1829 *Przechadzki po Rzymie* oraz *Armance* czyli *sceny paryskie* z 1827.

Rewolucja lipcowa. Stendhal wita ją z sympatią, ale nie biorąc czynnego udziału; noc 29 lipca spędza u kochanki, „aby czuwać nad jej bezpieczeństwem”. Zwycięstwo Orleanów jest zarazem odwetem bonapartystów. Odczuwa to Stendhal, gdyż otrzymuje zaraz stanowisko konsula w Trieście, gdzie się nudzi, marznie i gdzie, na szczęście, Austria go sobie nie życzy, pomawiając go o karbonaryzm. Przed wyjazdem z Paryża, zostawia pod prasą rękopis powieści *Czerwone i czarne*, która wychodzi z druku podczas jego nieobecności, bez powodzenia jak zwykle.

Odwołany z Triestu obejmuje stanowisko konsula w Civita Vecchia, miejscowości, która, gdyby nie bliskość Rzymu, byłaby dlań prawdziwym wygnaniem. Ale i tak, niewesoły jest ten schyłek życia Stendhala. Samotny, starzejący się, siłą się tu i ówdzie wskrzesić wzruszenia, których czas minął, stara się stworzyć w sobie filozoficzną równowagę, kreśląc wspomnienia młodości. Poza tym wydaje *Pamiętniki turysty* oraz powieść, *Pustelnię parmeńską* (1839), która daje mu poznać smak triumfu literackiego w postaci entuzjastycznego artykułu Balzaca w

„Revue de Paris”. Umiera w r. 1842, licząc lat pięćdziesiąt dziewięć, rażony apopleksją; spoczywa na Montmartre. W ostatnich latach, oburzony *pokojem za każdą cenę*, który był dążeniem Ludwika Filipa, oświadczył, iż nie chce mienić się Francuzem; gorzki ten nastrój jak niemniej pamięć szczęśliwych chwil przeżytych w Mediolanie wyraziły się w nagrobku, który sobie sam ułożył:

ARIGO BEYLE

MILANESE

visse, serisse, amo

quant'anima

adorava

*Cimarosa, Mozart e Shakespeare*³

Oto życie Stendhala. A charakter? Niełatwy do określenia. Postać Juliana (*Czerwone i czarne*) niejedno objaśni, byle jej oczywiście nie utożsamiać z autorem. Zdaje się, że wrażenia dziecinne duży miały wpływ na dalszy rozwój. Natura wrażliwa, czuła, gorąca, zdławiona nieprzyjazną atmosferą, przyuczyła się wkładać maskę, kryć swoje najlepsze strony; toteż wciąż spotykamy u niego nieśmiałość pod ironią i brutalnością, sentymentalizm pod pozorami don Juana. Przy tym nieufność, podejrzliwość, ostrożność, które rozwiną się w manię⁴. Wzrosły

³ *Arigo (...) e Shakespeare* – Henryk Beyle. Mediolańczyk, żył, pisał, kochał takim sercem, jakim ubóstwiał Cimarozę, Mozarta i Szekspira. [przypis tłumacza]

⁴ *nieufność, podejrzliwość, ostrożność, które rozwiną się w manię* – W najniewinniejszych listach Stendhal nieustannie posługuje się kryptonimami. [przypis tłumacza]

w epoce porewolucyjnego zdziczenia moralnego, Stendhal ma w pojęciach swoich zupełną prawie amoralność i niespołeczność; podobny w sferze myśli do tych kondotierów napoleońskich, których maluje Balzac, zachowa jako jedyną busołą punkt honoru i ten *kult energii*, który tamci mieli instynktownie, a który on ma świadomie. Ów kult energii znajdzie wyraz w uwielbieniu dla Napoleona oraz w rozkoszowaniu się historią Włoch z epoki Odrodzenia. Tę stronę natury Stendhala łagodzi – nie sprzeciwiając się jej zresztą – szczerą wrażliwość artystyczna, dająca mu w muzyce, zwłaszcza łatwej muzyce włoskiej, kosztować słodczy niemal zmysłowych; natomiast w ciągłej wojnie z żywiołowością charakteru jest rozwinięty zmysł analizy, zdolność i nawyk kontrolowania, uświadamiania sobie uczuć. Stąd naturę Stendhala wypełnia raczej apostołstwo namiętności jako stanu dającego pełnię życia niżeli sama namiętność, którą poraża jasnowidzenie inteligencji. Gra tych sprzeczności daje Stendhalowi ciekawą i złożoną fizjonomię.

Jako umysłowość Stendhal tkwi korzeniami głęboko w XVIII wieku: racjonalizm Woltera i encyklopedystów, ateizm lubujący się w konceptach à la Chamfort na temat Boga, nienawiść do prawdziwych i mitycznych *jezuitów* dochodząca manii, oto cechy Stendhala, w których również dałoby się odnaleźć wpływy działające nań – pozytywnie lub negatywnie – w dzieciństwie. Celem człowieka jest szczęście, tzn. możliwie największa suma rozkoszy, wrażeń: oto zasada filozofii, którą on sam nazywał *beylizmem*. Ale poprzez te racjonalistyczne koncepcje czuć wiew

romantycznego szaleństwa na zimno, które Stendhala broni od oschłości. Cóż wedle *beylizmu* może dać największą sumę wrażeń? Namiętność, choćby przyszło dla niej zaważyć życie, choćby bezcelowa, nedorzeczna. Ta apologia namiętności, tak oddalająca Stendhala od osiemnastowiecznych filozofów, z którymi ma tak bliski punkt wyjścia, świadczy, iż między XVIII wiekiem a nim był – Napoleon.

Ciekawy jest stosunek Stendhala do Napoleona. Zrazu, po 11 *brumaire*, jak przystało na młodego republikanina, widzi w nim tyrana, który „skradł ludowi wolność”. Nie przeszkadza mu to zresztą iść za gwiazdą napoleońską; zachowanie się jego jednak w latach próby, w r. 1813, 14, 15, nie świadczyłyoby o fanatyzmie... Nie było w nim materiału na jednego z Heinowskich „dwóch grenadierów”. Ten inteligentny amator wrażeń oglądał epopeję napoleońską zanadto z bliska, od strony kulis⁵. Dopiero później obraz Napoleona i jego dzieje, oglądane z dalszej perspektywy, opromienione wspomnieniem własnej młodości Stendhala, staną się dlań przedmiotem trwałego uwielbienia.

Stendhal był, jak powiedzieliśmy, zjawiskiem odosobnionym. W epoce przełomu i potężnych prądów duchowych nie mieszał

⁵ oglądał epopeję napoleońską zanadto z bliska – Przeglądając *Niewydane listy Stendhala (Souvenirs d'egotisme et lettres inedites)* natrafiłem na taki ustęp, bardzo znamienny w zestawieniu z militarno-heroicznymi marzeniami młodego Juliana Sorel. W r. 1801 Beyle pisze do przyjaciela: „Wyrzekłem się sławy wojskowej, ponieważ zanadto trzeba się płaszczyć, aby się docisnąć do pierwszych miejsc. [przypis tłumacza]

się z nikim, nie należał do żadnego obozu, był sobą. I nie mogło być inaczej; wszak i jego bieg życia odległy był, jak widzieliśmy, od utartych dróg literackich. Nie jest pisarzem-zawodowcem; patrzy na życie bezpośrednio, nie przez pryzmat kałamarza. Przy tym znaczną część życia spędza poza Francją, jak na francuskiego literata, dla którego często świat zamyka się w Paryżu⁶, to zjawisko niezwykle. Gdy romantycy opiewają Andaluzyjki i odalisy, siedząc u Tortoniego na bulwarach, on żyje bujnym życiem cyganerii wojskowej albo leniwym życiem Włoch, wypełniony wrażeniami: wrażeniami oczu, uszu i serca. I przez niego przepływa romantyczny prąd epoki, ale jakiś przetworzony. Stendhal, który we wszystkim jest przeciwnym biegunem Chateaubrianda, pod tym względem spotyka się z nim: każdy z nich na inny sposób przyczynił się do rozszerzenia horyzontu; obaj są wielkimi *globtroterami*, wybiegającymi myślą i uczuciem poza horyzont Francji. I zarazem, przy całej duchowej antypatii Stendhala do Chateaubrianda, możemy wszakże połączyć ich jednym nazwiskiem, aby zrozumieć, jak kręte drogi żłobi sobie bieg Romantyzmu. Nazwisko to, to Byron, który tyle czerpie z Chateaubrianda, a dla którego znowuż Stendhal ma tak gorące uwielbienie⁷.

⁶ *francuskiego literata, dla którego często świat zamyka się w Paryżu* – E. Goncourt, najczystszej krwi *literat*, powiada gdzieś, że tematem dla literatury może być paryżanin, reszta to *historia naturalna*. [przypis tłumacza]

⁷ *Byron (...) uwielbienie* – Kiedy Stendhal poznaje Byrona w Mediolanie, jest tak wzruszony, iż ledwie może się wstrzymać, aby go nie pocałować w rękę. [przypis tłumacza]

Interesujące są pośmiertne dzieje glorii Stendhala. Za życia utwory jego przechodziły dość niespostrzeżenie; nie tylko w kołach literackich, w których miał swoją reputację oryginała i zonglera paradoksów, ile wśród publiczności. Drugą część broszury *Racine a Szekspir*, która jest pamfletem wymierzonym w pana Auger, prezesa Akademii, zaczyna Stendhal od słów: „I ja, i pan Auger jesteśmy zupełnie nieznanymi”... Można sobie wyobrazić minę Akademika! Istotnie, około r. 1830 tyle świetnych nazwisk weszło na horyzoncie literatury, iż Stendhal, idący niedbale swoją koleją, poza wielkimi gośćmi, musiał pozostać nieznanym.

Kiedy w 1854 Sainte-Beuve omawia jego zbiorowe dzieła, wydane staraniem wiernego przyjaciela, Colomba, notuje budzące się zainteresowanie Stendhalem; mimo to, sam *książę krytyki* odnosi się doń w sposób nader umiarkowany. Chwila Stendhala dopiero miała nadejść; i co ciekawsze, miała nadejść ściśle według daty, którą on sam przepowiedział: niejednokrotnie w zapiskach swoich powiada, iż będą go czytać w r. 1880. Istotnie w tej epoce sława Stendhala, zapoczątkowana uwielbieniem Taine'a, urasta do niesłychanych rozmiarów, zwłaszcza wśród „śmietanki” intelektualnej. Richepin podaje – a potwierdza to i Bourget⁸ – iż w jego pokoleniu było kółko młodych pisarzy, umiejących dosłownie całe *Czerwone i czarne* na pamięć; gdyby nawet było w tym nieco przesady, kult

⁸ potwierdza to i Bourget – [w:] *Essais de psychologie contemporaine*. [przypis tłumacza]

Stendhala pozostaje faktem. Najsprzeczniejsze szkoły literackie powołują się na jego ojcostwo, przeciągają go do swego obozu, często z osobliwym skrzywieniem wizerunku Stendhala: Zola czyni go ojcem naturalizmu, Bourget widzi w nim pierwowzór wytwornego dyletanta, kosmopolity duchowego, gdy młoda szkoła francuska wywodzi zeń swój kult woli! Powstaje około lat dziewięćdziesiątych „Klub Stendhalistów” a pierwszym jego prezesem był rodak nasz, Kazimierz Stryjeński, wydawca (bardzo dziś krytykowany) i komentator pośmiertnych pism Beyle'a⁹. I dziś ten kult nie wygasł bynajmniej; jako dokument jego wystarczy wymienić rozpoczęte tuż przed wojną wspaniałe i rychło wyczerpane wydanie pism Stendhala oraz *stendhalianów*: mało który z francuskich pisarzy doczekał się podobnego¹⁰. A mimo to oficjalna historia literatury nie jest zgodna co do stanowiska Stendhala: jedni pomijają go prawie zupełnie¹¹, inni stawiają obok lub nawet powyżej Balzaca.

Przyjrzyjmy się powieści *Czerwone i czarne*. A trzeba się w niej nieco rozpatrzeć, gdyż książka ta, z pewnością jedna z niepospolitszych swego wieku, dziwnie jest skomplikowana; łatwiej się poddać jej wrażeniu niż je uświadomić i zanalizować.

Wystarczyłoby się *poddać*; ale i to wrażenie jest bardzo

⁹ *pośmiertnych pism Beyle'a – Kroniki włoskie, Życie Napoleona, Nowele, Korespondencja, Pamiętnik egotysty, Lamieł, Życie Henryka Brulard.* [przypis tłumacza]

¹⁰ *wydanie pism Stendhala oraz stendhalianów – Paris. E. Champion.* [przypis tłumacza]

¹¹ *pomijają go prawie zupełnie – Faguet, XIX Siècle.* [przypis tłumacza]

niejednolite; czytając ten utwór (zwłaszcza ponownie), to pływa się w rozkoszy, to znów wzrusza się ze zniecierpliwieniem ramionami; bądź co bądź, po odłożeniu książki, przemaga jej urok, pozostawiając w duszy ton niezatarty i odrębny. Zdaje mi się, iż trzeba by wyróżnić w tym dziele dwa elementy, nie zawsze dobrze zespolone, stąd te dysharmonie. Jeden element to powieść społeczna – *Kronika XIX wieku*, jak ją nazwał sam autor w podtytule. A sam tytuł? Uważano go niekiedy za niezrozumiały; jest chyba zupełnie jasny: *Czerwone i czarne*, to mundur i sutanna; to dwie Francje, Francja napoleońska i Francja Burbonów, która nastąpiła nagle po tamtej, brutalnie dławiając rozkołysany w młodych duszach hymn sławy i czynu. Odczytajmy drugi rozdział *Spowiedzi dziecięcia wieku* Musseta:

... Dzieci patrzyły na to wszystko myśląc ciągle, iż cień Cezara wyląduje w Cannes i zdmuchnie te upiory; ale cisza trwała ciągle, na niebie zaś widniał jeno odbłask białych lilii. Kiedy chłopcy mówili o sławie, powiadano im: „Zostańcie księżmi”; kiedy mówili o ambicji: „Zostańcie księżmi”; o nadziei, miłości, sile: „Zostańcie księżmi”...

Pomiędzy Rewolucją a upadkiem Napoleona upłynęło lat dwadzieścia pięć. Przez ten czas lud zdobył ziemię, zdobył świadomość samego siebie, zdobył przede wszystkim dzięki swemu Cesarzowi – godność. Niejeden syn ludu został marszałkiem Francji, nie było wsi, gdzie by na piersiach robotnika, chłopca, nie czerwieniła się wstążeczka legii. W eposie napoleońskiej lud francuski, w czarodziejskim skrócie,

przebył wieki bohaterskiej historii Francji; w siedmiomilowych butach dognał swoich starszych braci. Odebrawszy już poprzednio szlachcie wszystkie przywileje, wydarł jej ten ostatni, bez którego *zrównanie* nie byłoby nigdy istotny: przywilej bohaterstwa, przywilej umierania za ojczyznę, za chimere sławy – szlachetniejszej jeszcze, ofiarniejszej, bo bezimiennej! – umierania pięknie, z chwałą; wydarł jej poezję heroizmu i przewyższył o tyle, o ile Napoleon przewyższył wszystkich dawnych wodzów. Z tą chwilą supremacja *urodzenia* pogrzebana była bez powrotu; z tą chwilą dopiero dzieło Rewolucji dokonało się w całej pełni.

I oto nagle, przy pomocy obcych bagnatów wraca miniony porządek rzeczy; złagodzony, to prawda, ale siłą się odzyskać dawne prerogatywy; oto nagle zatrzaśnięto młodzieży francuskiej wrota do sławy, do czynu, które uchyliła Rewolucja, które otworzył na oścież Napoleon. I znowu jak przed wielką Rewolucją lud szarpie niecierpliwie swe pęta i szmerze; ale to już inny lud: ani śladu w nim dawnego niewolnika; lud górujący nad tymi, którzy chcą mu się narzucić za panów, wszystkim: inteligencją, polotem, wolą, odwagą. Między Ludwikiem XVI a Ludwikiem XVIII był – Napoleon. I niedługo da się utrzymać tamy: przyjdzie r. 1830 i lud zerwie się jeszcze raz, i zmiecie – prawie bez krwi rozlewu, tak słaby napotka opór – swoich niepowołanych opiekunów.

Wspomniałem, iż na schyłku, życia Stendhal podjął zadanie spisania historii swego Cesarza. Nie dokończył tej historii,

która objęła ledwie kilka lat i pozostała w postaci brulionu; ale są w niej ustępy należące do pięknych kart francuskiego piśmiennictwa. Daleko tu jesteśmy od sceptycznych refleksji, które spotykaliśmy w listach kreślonych na gorąco z biwaków. Rzeczywistość szlachetnie, przetwarza się w poezję; małe prawdy codzienności roztopiły się w wielkiej prawdzie dziejów.

Doznaję uczucia jakby religijnego wzruszenia, kreśląc pierwsze zdanie dziejów Napoleona... Spodziewałem się, że ktoś z tych, którzy patrzyli na Cesarza, podejmie opowieść jego życia. Czekałem dwadzieścia lat. Ale w końcu widząc, że ten wielki człowiek staje się coraz bardziej nieznanym, nie chciałem umrzeć nie wyraziwszy mniemania, jakie mieli o nim niektórzy towarzysze broni....

... We wszystkich sercach władało wówczas głębokie uczucie, którego nie widzę już śladów. Niechaj czytelnik, o ile ma mniej niż pięćdziesiąt lat, zechce sobie wyobrazić, wedle ksiązek, iż w 1794 nic mieliśmy ani cienia religii; nasze wewnętrzne i pełne powagi uczucie skupiało się całe w tej myśli: być użytecznym ojczyźnie.

Wszystko inne, odzież, żywność, stopnie, było w naszych oczach jedynie nędznym i znikomym szczegółem...

On był naszą jedyną religią...

Z tego kultu, z tej religii wyrósł młody Julian Sorel, któremu przyjaciel jego, stary felczer armii napoleońskiej, zostawił za cały legat *Pamiętnik z wyspy św. Heleny* i swój krzyż legii honorowej.

Powieść Stendhala *Czerwone i czarne*, pisana tuż przed 1830, cudownie oddaje ton nowej Francji. Zestawmy trzy typy, w których ujawnia się lud w literaturze francuskiej; Kubuś¹², zacny, dobroduszny, pobłażliwy, przywiązany jeszcze do pana, którego przerasta inteligencją i charakterem; *Figaro*, zniecierpliwiony, gorzki i niebezpieczny już pod swą niefrasobliwą wesołością; wreszcie ten Julian Sorel, posepny, groźny, wcielenie napiętej ambicji, woli i myśli; co więcej, fanatyk *honoru*, mimo iż pojętego nieraz dość osobliwie.

Honor! To także przywilej, który lud wydarł szlachcie i który dziecko tego ludu, Julian Sorel, pielęgnuje z żarliwością neofity. Postawmy obok siebie te dwa wcielenia ludu: Figara, zwiastuna Wielkiej Rewolucji, i Juliana Sorel, zwiastuna dni lipcowych. Cóż za przepaść! Już to samo, że figury wyrażającej bunt ludu, figury, w którą włożył wiele z siebie, Beaumarchais nie wahał się zrobić lokajem, jest wymowne. Figaro ma wszystko: energię, inteligencję, talent, prawość, serce; ale brak mu jednego: – godności. Ta zostaje jeszcze dziedziną hrabiego Almaviva i najbardziej rewolucyjnemu pisarzowi nie przyszło na myśl mu jej wydzierać. Figaro jest jeszcze krewniakiem owego *vilain* z dawnej *komedii*: schowa do kieszeni policzek, byle osłodzony sakiewką.

Cóż za skok do Juliana! Ten cierpi na istny przerost godności osobistej, obolałej, podejrzliwej, zdolnej do wszelkiego szaleństwa, do zbrodni! Co mu ją dało? Owa wstążeczka legii

¹² Kubuś – [por.] Diderot, *Kubuś fatalista i jego pan*. [przypis tłumacza]

przekazana mu w spadku przez starego felczera. Ta ewolucja, ta głęboka przemiana duchowa znajduje w powieści Stendhala dobitny wyraz.

To jeden motyw książki: a teraz drugi. Wspomnieliśmy w biografii Stendhala, iż wielkim zatrudnieniem jego życia była miłość. Jej oddał najlepsze siły, o niej napisał całe dzieło, ona wciska się we wszystkie jego pisma. I oto drugi element utworu: powieść *miłosna*, wcielenie marzeń o miłości, jakie Stendhal snuł całe życie. Zawdzięczamy temu głęboką analizę serca ludzkiego, zawdzięczamy wiele niezapomnianych scen, wreszcie dwa urocze i wspaniałe prawdą typy kobiece; ale także i niejedną rysę w tym dziele. Julian, owo dziecko ludu, wcielenie jego upokorzeń, krzywd i odwetu, jest równocześnie „dzieckiem rozkoszy”, rodzajem *belami*, którego ubóstwiają na kolanach wielkie damy, ku któremu wyciągają się wszystkie ramiona kobiece. Ba, nie tylko kobiece: w rezultacie, począwszy od wiernego Fouqué aż do margrabiego de la Mole, wszyscy, których Julian spotyka na drodze życia, licytują się formalnie o niego, śpieszą z ofiarą pieniędzy, gotowością stworzenia mu losu etc. I to przeszkadza nieco: kiedy Julian, który w rezultacie, poza przykrościami krótkiego pobytu w seminarium, pędzi życie arcywygodne i przed którym ściele się ono różami, wciąż występuje z pretensjami do społeczeństwa i uważa się za srodze pokrzywdzonego, ponieważ nie ma... renty, mimo woli wzruszamy ramionami.

Ten rozdźwięk wynika może z pewnych niedostatków

techniki. Stendhal bystro widzi i silnie ujmuje jej linię społeczną, ale w przeprowadzeniu nie umie może zespolić problemów społecznych z problemami miłosnymi książki. Balzac wie, że miłość plebejusza, człowieka pracy (*Córka Ewy!*) inne przybierze formy niż miłość człowieka, dla którego jest ona jedynym zajęciem; Stendhal osadza ją jeszcze w ramie trącej abstrakcją XVIII w. Pałac de la Mole niedaleko leży od zamku w *Niebezpiecznych związkach*; Julian prowadzi tam istne życie jakiegoś Valmonta: w nocy odwiedza damskie sypialnie, w dzień harcuje na koniu „albo pędzi dni przy małym okienku na poddaszu”, śledząc postać Matyldy w ogrodzie. O tym, iż rzecz toczy się w Paryżu, wiemy jedynie teoretycznie; nie widzimy ani śladu reakcji tego Paryża w Julianie. Porównajmy pod tym względem powieść Stendhala z *Ojcem Goriot* albo ze *Straconymi złudzeniami*.

Fakt tedy, iż *Czerwone i czarne* jest powieścią przedbalzakowską, z jednej strony pomnaża nasz podziw dla intuicji i talentu Stendhala, z drugiej tłumaczy nam wiele szczegółów utworu. Stendhal ma dość fantastyczne pojęcie o mechanizmie społecznym. I gdzie go miał poznać? Nie w biwakach armii ani na operze w Mediolanie. Sposób, w jaki Julian, ten kmiotek okrzesany przez panią de Rênal i świeżo przybyły z seminarium doprowadza do porządku interesy pana de la Mole, właściciela jednej z największych fortun we Francji, jest rozbijający! Czuć, że jeszcze nie przyszedł Balzac i nie wprowadził do literatury swojej armii

adwokatów, rejentów, giełdziarzy... Julian Stendhala jest tu raczej faworytem, dworzaniem dawnych czasów...

Jedna jest jeszcze rzecz, którą różni się Stendhal od Balzaca. Balzac ma w odniesieniu do społeczeństwa bezstronność przyrodnika. Wiemy, że wyznawał on, może na wespół przez snobizm, zasady rojalistyczne, ale dzieło jego nic o tym nie wie. Oko artysty, myśliciela jest ponad Francję rojalistyczną, rewolucyjną, napoleońską: widzi całokształt społeczeństwa, jego przekroje, funkcjonowanie jego motorów, trybów, transmisji. Inaczej u Stendhala: książka jego jest pamfletem. Zapatrzony w epokę napoleońską, której czas bezpowrotnie minął i do której sam Stendhal inaczej się odnosił, póki trwała, nie chce rozumieć nowego społeczeństwa będącego amalgamatem dawnych i nowych idei. Podobny owym rozbitkom napoleońskim, których maluje Balzac, dąsa się na Burbonów, widzi wszędzie jezuitów i jezuickie intrygi¹³. Eks-żołnierz, gardzi w gruncie *cywilami*; w pracy ich, budującej nową Francję widzi jedynie zabiegi materialne kramarzy.

Tak jak Stendhal nie rozumie społeczeństwa, które go otacza, tak samo nie bardzo rozumie ludzi, poza sobą i kobietą, którą kocha. Każda z jego postaci to marionetka poruszana jednym sznurkiem. Przypomnijmy sobie to wspaniałe studium *entomologiczne*, jakim jest pan de la Baudraye w

¹³ *widzi wszędzie jezuitów i jezuickie intrygi* – Niewątpliwie ujawnia się tu owa dochodząca do manii podejrzliwość, której tyle rysów odbija się w korespondencji Stendhala. [przypis tłumacza]

Muzie z zaścianka Balzaca; widzimy go w jego małostkach, śmiesznościach, charakterystycznych rysach i równocześnie widzimy w jego osobie tworzącą się nową Francję. A pan de Rênal, a Valenod? Dla Stendhala to tylko płaskie łądaki. Zabiegi materialne wypełniające znaczną część społecznego życia są mu wstrętne. Jego Julian reprezentuje lud, ale brzydzi się wszystkim, co stanowi życie tego ludu; bić się albo mieć rentę to dla niego jedyne godne zajęcie. W tych rysach ujawnia się zupełna prawie niespołeczność Stendhala, wychowanego w wojnach napoleońskich; jakby brak solidarności z ludźmi i brak życzliwości dla nich. Ten Julian jest kondotierem, jak Filip Bridau lub Maksencjusz Gilet w *Kawalerskim gospodarstwie*. I jako taki jest bardzo znamienym produktem epoki, osadem napoleonizmu.

Niedostatek w malowaniu ludzi występuje tu na każdym kroku. Przypomnijmy sobie pierwszą rozmowę księdza Pirard z Julianem o hrabi Norbercie i patrzymy, jak ta figura młodego de la Mole rozłazi się autorowi w palcach. Kogóż nie zniecierpliwi ciągle wyliczanie, niby w uprzykrzonym refrenie, tej wiecznej trójcy pp. de Croisenois, de Caylus i de Luz?

Dość chyba się nazrędziłem na książkę, którą serdecznie lubię. I tu staję wobec trudniejszego zadania. Powiedzieć, co w niej jest nielogiczne, nieprawdziwe, to dość łatwo; wytłumaczyć, na czym polega jej urok, jej niezatarte wrażenie, o wiele trudniej. Wnosi ona dwie rzeczy raczej rzadkie w literaturze francuskiej: jedna to jakaś zasadniczo *tragiczna koncepcja* życia;

druga to – mimo że to dziwnie brzmi, kiedy się mówi o tym *pozytywiście* na wespół osiemnastowiecznym – jakiś mistyczny dech wiejący z tego utworu. Może to wiew namiętności, której istota zawsze się gubi w mrokach tajemnicy? Część książki, począwszy od zamachu na panią de Rênal aż do śmierci Juliana, jest czymś odrobinę niedorzecznym, a zarazem głęboko pięknym, porywającym, wprawiającym w dziwną zadumę... Piękną również jest transpozycja miłostek Bonifacego de la Mole z królową Małgorzatą na jego prawnuczkę i na tego hardego plebejusza. I mimo owej *rysy*, którą zaznaczyłem w koncepcji Juliana, krytykujemy go raczej rozumowo; gdy chodzi o wrażenie, przeważnie ulegamy autorowi: dzielimy jego wiarę w *niepospolitość* tego bladego i ponurego chłopca, którego fizjonomia ma coś z fizjonomii młodego Bonapartego, zanim jeszcze wstąpił na drogę chwały...

I po całej owej paraleli na korzyść Balzaca, którą przeprowadziłem poprzednio, muszę wyznać: równocześnie z korektą tej książki prowadziłem korektę paru przedruków Balzaca; otóż bezpośrednio po Stendhalu Balzac wydaje się – niemal płaski. Wiem, że jest w tym uczuciu wiele niesprawiedliwości! Łatwiej jest być poetycznym, kiedy się każe swemu bohaterowi wspinać w nocy po drabinie¹⁴ do okien

¹⁴ *kiedy się każe swemu bohaterowi wspinać w nocy po drabinie* – Epizod, w którym pani de Rênal przechowuje przez całą dobę Juliana w swoim pokoju, ma analogię w życiu autora, który (już czterdziestoletni z górą), nie mogąc się inaczej widywać z kochanką, dostał się po drabinie do piwnicy w jej domu i tam pozostał trzy dni, w ciągu których ona zaopatrywała go w żywność oraz dopełniała innych

kochanki, niż kiedy się, jak Balzac, zawinie rękawy, aby się paprać w kuchni społecznej i demonstrować nam jej procedury; dlatego notuję to nie jako swój *sąd*, ale jako swoje, przelotne zresztą, *wrażenie*.

W jednym jest Stendhal na wskroś oryginalny i nowy, mianowicie w przesunięciu punktu ciężkości powieści na analizę psychologiczną. Ma on w tym poprzednika, na którego się sam powołuje¹⁵, ale doprowadził tę sztukę daleko. Balzac dał powieści nowoczesnej silną więź społeczną i analizę psychologiczną w *czynach*; Stendhal głównym swym zadaniem uczynił analizę myśli, uczuć. Powieść ta jest przeważnie wewnętrznym monologiem, chwilami niemal snem na jawie; niedostrzegalnym drgnieniem duszy poświęca Stendhal całe rozdziały, gdy najważniejsze fakty zbywa w paru słowach. Stendhal daleko zaszedł w odkonwencjonalizowaniu uczuć; stwarza ich chemię: uczucie nawet pozornie elementarne jak miłość staje się u niego skomplikowanym mechanizmem. I tu wskazał mu drogę Marivaux: miłość Juliana i panny de la Mole, to *marivaudage* na tragiczno.

Jak na urodzonego *człowieka miłości* przystało, dla Stendhala

mniej poetycznych, a koniecznych wszakże posług. Gdy mowa o źródłach do tej powieści, interesujące może będzie zaznaczyć, iż proces o usiłowane morderstwo w dość podobnych okolicznościach miał miejsce w rzeczywistości, i że podsądny, eks-seminarzysta Berthet, został w Grenoble skazany na śmierć i stracony (*Stryjeński, Soirées du Stendhal-Club*). [przypis tłumacza]

¹⁵ poprzednika, na którego się sam powołuje – „Przygotowując się co rano odczytaniem kilkunastu stron *Marianny* Marivaux, zrozumiesz zdobywcze tkwiące w tym, aby trafnie opisywać drgnienie ludzkiego serca”. [przypis tłumacza]

istnieje naprawdę jedynie on sam i kobieta. Na tle nikłych cieni ludzkich, prymitywnych marionetek, którymi zaludnił swoją powieść, odcinają się dwa pełne typy kobiece, typy, których nie podobna zapomnieć, skoro się raz czytało tę książkę: pani de Rênal i Matylda, te dwie oddychające prawdą, poetyczne postacie.

Jedną z przyczyn, dla której lekceważono Stendhala w epoce Romantyzmu, a uwielbiano pod koniec XIX wieku, jest jego *styl*. *Styl ten* w istocie szczególnie odbija od szumnej poetyckiej prozy Chateaubrianda, Wiktora Hugo, Gautiera, Musseta. Te krótkie, rzeczowe zdania silą się ściśle notować fakty, uczucia; unikają – aż do przesady – ornamentu, wielkich słów. Zauważmy: wszystkie najważniejsze zdarzenia, oddanie się pani de Rênal a potem Matyldy, pojedynk Juliana, ciąża Matyldy¹⁶, zabójstwo pani de Rênal, wreszcie sama śmierć Juliana, zaznaczone są krótkimi zdaniami jakby mimochodem. Stendhal mawiał, iż pisząc powieść, odczytuje po parę stron kodeksu cywilnego dla nabrania *tonu*¹⁷. Bądź co bądź i on nie uniknął nieraz konwencjonalnej przesady, i przesada ta przy pozorach oschłości tym bardziej uderza¹⁸. I stylem tym styka się Stendhal z wiekiem

¹⁶ *ciąża Matyldy* – Nawiasem mówiąc, chronologia tej ciąży nie wytrzymałaby, jak sądzę, krytyki ginekologa. [przypis tłumacza]

¹⁷ *odczytuje po parę stron kodeksu cywilnego dla nabrania tonu* – Nie trzeba może tego zwierzenia brać zbyt dosłownie. W każdym razie zwrócono uwagę, iż mniej pilnie wczytywał się w kodeks karny, gdyż art. 1342, który cytuje Julian, nie istnieje. [przypis tłumacza]

¹⁸ *przesada ta przy pozorach oschłości tym bardziej uderza* – Np. kiedy z okazji

XVIII; może najbliżej z powiastkami Woltera? Jednakże od czasu do czasu, gdy zechce, Stendhal umie za pomocą paru słów dać wizję głębiej zapadającą w duszę od wielu bogatych opisów.

Czerwone i czarne było przekładane na język polski w r. 1889 piórem kobiecym; na innym miejscu miałem sposobność wyrazić sąd o tym przekładzie i poprzeć go cytatami¹⁹ oraz ogólniejszymi refleksjami na ten temat. Obecnie nie mogę sobie odmówić przyjemności, aby nie przytoczyć zeń jeszcze jednego kwiatka: „Automatyczny mąż szkodzi jej więcej niż pomaga” (*cet automate*²⁰*de mari...*). I jeszcze jedno godne uwagi: nagłówek przedmowy zawiera nawias: „podług Brandesa”. Jakżeby się zdumiał biskup Krasicki i inni uczestnicy „obiadów czwartkowych”, gdyby im ktoś powiedział,

jakichś dokuczliwych zwierzeń Matyldy, Stendhal powiada, iż „Julian cierpiał bardziej, niż gdyby mu lano w piersi roztopiony ołów” (XLVIII). [przypis tłumacza]

¹⁹ *miałem sposobność wyrazić sąd o tym przekładzie* – Murger, *Cyganeria* (Bibl. Boya), od tłumacza. [przypis tłumacza]

²⁰ *cet automate* – *Automate* używa się po francusku w znaczeniu bałwan, głupiec. W tym samym tomie znajduje się przekład powieści *La Chartreuse de Parme*: rzucam okiem na pierwsze zdanie. Po francusku brzmi: „W 1796 generał Bonaparte wszedł do Mediolanu”. Polska tłumaczka: „W r. 1796 Napoleon I wszedł do Mediolanu”... Zatem po to przeinacza tekst i fałszuje obraz (generał Bonaparte a Napoleon I, to daje wprost wzrokowo zupełnie inny obraz!), aby zdradzić grubą ignorancję historyczną. A to znowu z opisu bitwy pod Waterloo. W tekście markietanka poucza rekruta: jeśli ujrzysz nieprzyjaciela, pchnij go sztychem, nie baw się w rąbaninę (*si tu vois un soldat ennemi, pique le avec ton sabre, ne va pas t'amuser à le sabrer*). A nasza tłumaczka: „Jeżeli spotkasz nieprzyjacielskiego żołnierza, możesz go podrażnić szablą, ale nie zabijaj dla zabawki”! Wiemy przynajmniej, dzięki tłumaczce, jakie obyczaje panowały w bitwie pod Waterloo... [przypis tłumacza]

że tak szybko przyjdzie czas, w którym myśl francuska będzie wędrować do nas znad Sekwany przez – Kopenhagę!!!

Kraków, w kwietniu 1921.

I. Małe miasteczko

Put thousands together

Less bad

But the cage less gay.

Hobbes.

Miasteczko Verrières może uchodzić za jedno z najładniejszych we Franche-Comté. Białe domy, spadziste dachy z czerwonych dachówek rozsiadły się na zboczu porośłym kępami rozłożystych kasztanów. Rzeka Doubs płynie o kilkaset stóp poniżej fortyfikacji zbudowanych niegdyś przez Hiszpanów, a obecnie zrujnowanych.

Od północy zaślania Verrières duża góra łącząca się z Pasmem Jurajskim. Okrzesane wierzchołki Verra pokrywają się śniegiem z nastaniem pierwszych październikowych chłódów. Strumień spadający z gór przerywa Verrières, nim utonie w Doubs, i porusza mnogość tartaków; prosty ten przemysł zapewnia niejaki dobrobyt większej części mieszkańców, raczej wieśniaków niż mieszczan. Nie tartaki wszelako wzbogaciły to miasteczko. Fabryka perkalików stworzyła powszechną zamożność, dzięki której od upadku Napoleona przebudowano prawie wszystkie domy w Verrières.

Już wchodzącego do miasta ogłusza turkot hałaśliwej i

straszliwej na pozór maszyny. Dwadzieścia ciężkich młotów spadając z hukiem, od którego drży ulica, podnosi się za pomocą koła obracanego wodą. Każdy młot wyrabia co dzień fantastyczną ilość gwoździ. Młode dziewczęta, ładne i świeże, podsuwają pod ciosy tych olbrzymich młotów kawałki żelaza, które w jednej chwili zmieniają się w gwoździe. Ta praca, tak gruba na pozór, zdumiewa podróżnego, który zapuszcza się po raz pierwszy w góry dzielące Francję od Szwajcarii. Kiedy wjeżdżając do Verrières, zapytacie, do kogo należy ta piękna fabryka ogłuszająca przechodniów, odpowiedzą wam, przeciągając z lekka: „Tać do pana burmistrza”.

O ile podróżny bodaj parę chwil zatrzyma się na głównej ulicy, która prowadzi do Doubs pod sam szczyt pagórka, można trzymać sto przeciw jednemu, że spotka tam wysokiego mężczyznę z ważną i poważną miną.

Na jego widok odkrywają się wszystkie głowy. Włosy ma szpakowate, ubrany jest szaro. Jest kawalerem licznych orderów, ma wydatne czoło, orli nos, rysy na ogół dosyć regularne: na pierwsze wrażenie twarz ta jednoczy nawet godność prowincjonalnego mera ze śladami urody, jakie może jeszcze zachować fizjonomia między czterdziestym ósmym a pięćdziesiątym rokiem. Ale niebawem przykro uderzy paryżanina wyraz zadowolenia z siebie i tępej zarozumiałości. Czuje się, koniec końców, że talenty tego człowieka sprowadzają się do punktualnego ściągania cudzych należytości i płacenia możliwie najpóźniej własnych.

Taki jest burmistrz Verrières, pan de Rênal. Przeszedłszy poważnym krokiem ulicę, wchodzi do merostwa i ginie oczom podróżnego. Ale, jeśli ów pójdzie cokolwiek dalej, widzi o sto kroków wyżej dość okazały dom i poprzez żelazne sztachety wspaniałe ogrody. Dalej widnokrąg zamknięty pagórkami Burgundii, jakby stworzony dla rozkoszy oka. Widok ten pozwala podróżnemu odetchnąć po atmosferze zapowietrzonych drobnymi pieniężnymi interesami, które zaczynały go już dławzić.

Dowiaduje się, że ta siedziba należy do pana de Rênal. Piękny ten dom zbudowany z ciosu, jeszcze niezupełnie skończony, zawdzięcza pan burmistrz zyskom, jakie mu daje fabryka gwoździ. Rodzina jego, powiadają, jest starożytnego hiszpańskiego pochodzenia, osiadła w okolicy o wiele przed podbojem Ludwika XIV.

Od 1815 pan de Rênal rumieni się, że jest przemysłowcem: rok 1815 zrobił go merem Verrières. Murowane terasy tego wspaniałego ogrodu, który piętrami opada aż do Doubs, są również nagrodą inteligencji pana de Rênal w przemyśle żelaznym.

Nie spodziewajcie się znaleźć we Francji malowniczych ogrodów, które otaczają przemysłowe miasta Niemiec: Lipsk, Frankfurt, Norymbergę, etc. We Franche-Comté im więcej wznosi ktoś murów, im więcej jeży swą posiadłość spiętrzonymi kamieniami, tym więcej nabywa praw do szacunku sąsiadów. Ogrody pana de Rênal, zapełnione murami, budzą podziw i

przez to, że kupił na wagę złota niektóre partie gruntu. Na przykład tartak, który uderzył was przy wjeździe do Verrières swym oryginalnym położeniem i na którym widnieje nad dachem olbrzymimi literami nazwisko SOREL, otóż ten tartak zajmował sześć lat temu przestrzeń, gdzie wznosi się dzisiaj czwarta terasa ogrodów pana de Rênal.

Mimo swej dumy pan mer musiał się sporo nachodzić koło starego Sorela, twardego wieśniaka; musiał mu wyliczyć sporo pięknych ludwików, aby go skłonić do przeniesienia gdzie indziej fabryczki. Co do *publicznego* strumienia, który poruszał piłę, pan de Rênal dzięki wpływowi, jakich zażywał w Paryżu, uzyskał, że go odwrócono. Uprzejmość ta spadła nań po wyborach w 182***.

Dał Sorelowi cztery morgi za jeden, o pięćset kroków niżej, nad Doubs. I mimo że to położenie było o wiele korzystniejsze dla handlu, Sorel znalazł sposób, aby z niecierpliwości i *manii posiadania* rozpierającej jego sąsiada wycisnąć sumę 6000 franków.

Prawda że miejscowi luminarze krytykowali tę transakcję. Jednego razu – było to w niedzielę, cztery lata temu – pan de Rênal, wychodząc z kościoła w uniformie mera, ujrzał z daleka starego Sorela w otoczeniu trzech synów: stary, patrząc nań, uśmiechał się. Uśmiech ten zaszczerpił złowrogie podejrzenie w duszy pana mera; myśli od tego czasu, że mógł być dobić targu tańszym kosztem...

Aby dojść w Verrières do publicznego szacunku, główna

rzecz jest, aby, wznosząc wiele murów, nie przejąc wszelako jakiegoś pomysłu przywiezionego z Włoch przez murarzy, którzy na wiosnę ciągną przez Jura do Paryża. Takie nowatorstwo ściągęłoby na nieopatrnego budownika wiekuiłą reputację *pomyłonej głowy*: byłby na zawsze zgubiony w oczach roztropnych i umiarkowanych ludzi, którzy rozstrzygają o poważaniu we Franche-Comté.

W gruncie, owi roztropni ludzie wykonują tam najnudniejszy w świecie *despotyzm*; toteż z przyczyny tego brzydkiego słowa pobyt w małym miasteczku nieznośny jest dla kogoś, kto żył w wielkiej republice nazwanej Paryżem. Tyrania opinii i – co za opinii! – jest równie *głupia* w małych miasteczkach Franche-Comté, co w Stanach Zjednoczonych Ameryki.

II. Mer

*Znaczenie! Panowie, alboż to nic? Szacunek głupców,
podziw dzieci, zazdrość bogaczy, wzgarda mędrca.
Barnave.*

Szcęściem dla sławy pana de Rênal jako administratora w promenadzie publicznej biegnącej z boku o jakie sto stóp nad Doubs okazało się potrzebne olbrzymie podmurowanie. Temu cudownemu położeniu zawdzięcza ta promenada jeden z najbardziej malowniczych widoków Francji. Ale co wiosną deszcze orały bruzdy, żłobiły wyrwy i czyniły to miejsce przechadzki niepodobnym do użytku. Niedogodność ta, która dokuczyła wszystkim, dała panu de Rênal szczęśliwą sposobność unieśmiertelnienia swych rządów murem na dwadzieścia stóp wysokim, a długim na trzydzieści lub czterdzieści sążni.

Parapet ten – dla którego pan de Rênal musiał trzy razy jeździć do Paryża, przedostatni bowiem minister spraw wewnętrznych okazał się śmiertelnym wrogiem promenady w Verrières – otóż parapet wznosi się obecnie na cztery stopy nad ziemią. I jakby na urągowisko wszystkim obecnym i przeszłym ministrom, zdobi się go w tej chwili płytami z ciosu.

Ileż razy, dumając o świeżo porzuconych zabawach paryskich, z piersią opartą o te bloki sinego kamienia, tonąłem spojrzeniem w dolinie Doubs! Het w dali, po lewej stronie, wije się kilka

dolinek, w których oko wyraźnie rozróżnia małe strumyki. Kręcą się, tworząc raz po raz nikłe siklawy, aby wreszcie utonąć w Doubs. Słońce jest w tych górach bardzo skwarne; skoro dopieka zbyt silnie, zaduma wędrowca znajduje schronienie na tej terasie w cieniu wspaniałych jaworów. Swój szybki wzrost oraz piękną zieloność z odcieniem prawie niebieskim drzewa te zawdzięczają nawiezionej ziemi, którą pan mer pomieścił za swoim olbrzymim podmurowaniem: wbrew opozycji bowiem rady gminnej rozszerzył promenadę przeszło o sześć stóp. (Mimo że mer jest *ultra*, ja zaś jestem liberałem, pochwalam mu ten czyn, dzięki któremu w opinii samego mera oraz w opinii pana Valenod, szczęśliwego dyrektora *przytułku* w Verrières, terasa ta może wytrzymać porównanie z terasą w Saint-Germain-en-Lave).

Co do mnie, znajduję jedną rzecz do zagadnienia w tej *Alei Wierności* (to oficjalne miano można wyczytać kilkanaście razy na marmurowych tablicach, które zyskały panu de Rênal jeden order więcej); mianowicie barbarzyński sposób, w jaki władza każe obcinać i strzyc do żywego te bujne jawory. Miast upodobniać się swymi niskimi, okrągłymi i spłaszczonymi głowami do najpospolitszej jarzyny, byłyby z ochotą przybrały owe wspaniałe kształty, jakie widuje się w Anglii. Ale wola pana mera jest despotyczna; dwa razy na rok wszystkie drzewa gminne ulegają bezlitosnej amputacji. Miejscowi liberałowie twierdzą (przesadzają!), że ręka oficjalnego ogrodnika stała się o wiele surowsza, odkąd ksiądz wikariusz Maison przyjął zwyczaj

zagarniania dla siebie produktów tych postrzyżyn.

Młody ten duchowny przybył przed kilku laty z Besançon, przysłany dla nadzorowania księdza Chélan i paru innych proboszczów. Stary chirurg pułkowy osiadły w Verrières (zdaniem pana mera razem jakobin i bonapartysta), ośmielił się jednego dnia krytykować to systematyczne kaleczenie pięknych drzew.

– Lubię cień – odparł pan de Rênal z odcieniem wyższości naturalnej w rozmowie z felczerem, kawalerem legii honorowej – lubię cień, każę tedy przycinać moje drzewa, iżby dawały cień, i nie rozumiem, aby drzewo służyć mogło do czego innego, chyba że jak pożyteczny orzech *przynosi dochody*.

Oto wielkie słowo, które rozstrzyga o wszystkim w Verrières: *przynosić dochód*; streszcza ono stałą myśl trzech czwartych ludności.

Przynosić dochód to argument rozstrzygający o wszystkim w miasteczku, które zdało się wam tak powabne. Obcy, zachwycony świeżością i urodą dolin, które je otaczają, wyobraża sobie zrazu, że mieszkańcy jego wrażliwi są na *piękno*; mówią aż nazbyt często o piękności okolicy: nie można zaprzeczyć, że przywiązują do niej wagę; ale to dlatego, że ściąga cudzoziemców, których sakiewka wzbogaca oberżystów, co znowuż siłą mechanizmu podatkowego *przynosi dochód* miastu.

W piękny jesienny dzień pan de Rênal przechadzał się po *Alei Wierności* pod rękę z żoną. Słuchając męża, który rozprawiał

z poważną miną, pani de Rênal ściagała niespokojnym okiem ruchy trzech chłopców. Najstarszy, może jedenastoletni, zbliżał się za często do parapetu z wyraźną chęcią wdrapania się na mur. Łagodny głos upominał wówczas małego Adolfa i dziecko odstępowało od ambitnego zamiaru. Pani de Rênal wyglądała na lat trzydzieści, ale była jeszcze dość ładna.

– Może łatwo tego pożałować ów fircyk paryski – mówił pan de Rênal wzburzony, z twarzą bledszą jeszcze niż zazwyczaj. – Ostatecznie mam parę życzliwych osób na Dworze...

Ale mimo że zamierzam przez dwieście stronic mówić o prowincji, nie posunę się do tego okrucieństwa, aby wam kazać słuchać mdłych i rozwlekłych prowincjonalnych rozmów.

Fircyk paryski, tak antypatyczny merowi Verrières, był to niejaki Appert, który dwa dni wprzódy zdołał się wcisnąć nie tylko do więzienia i przytułku, ale i do szpitala, gdzie bezinteresownie władali mer oraz główni miejscowi właściciele.

– Ale – rzekła nieśmiało pani de Rênal – cóż tobie może wadzić ten paryżanin, skoro zarządzasz mieniem ubogich najskrupulatniej?

– Przyjeżdża tylko po to, aby wydziwiać na wszystko, a potem zamieści artykuł w liberalnych dziennikach.

– I tak ich nie czytujesz.

– Ale ludzie gadają o tych jakobińskich artykułach: to nas niepokoi i *przeszkadza nam w czynieniu dobrego*²¹. Nie, co do

²¹ *gadają o tych jakobińskich artykułach: to nas niepokoi i przeszkadza nam w czynieniu dobrego* – Historyczne. [przypis autorski]

mnie, nigdy tego nie wybaczę proboszczowi.

III. Mienie ubogich

*Zacny i z dala od intryg stojący proboszcz jest
Opatrznością wioski.
Fleury.*

Trzeba wiedzieć, że proboszcz z Verrières, starzec osiemdziesięcioletni, ale zawdzięczający ożywczemu powietrzu gór zdrowie i charakter z żelaza, miał prawo odwiedzać o każdej porze więzienie, szpital, a nawet przytułek. Pan Appert, polecony z Paryża proboszczowi, umyślnie przybył do ciekawego miasteczka o szóstej rano i natychmiast udał się na plebanię.

Przeczytawszy list margrabiego de la Mole, para Francji i najbogatszego właściciela w okolicy, ksiądz Chélan zadumał się.

„Jestem stary, kochają mnie tutaj – rzekł do siebie – nie śmieliby!” Następnie obrócił się ku paryżaninowi z oczami, w których, mimo podeszłego wieku, błyszczał ów święty ogień zrodzony przyjemnością spełnienia dobrego uczynku, połączonego z pewnym niebezpieczeństwem.

– Chodź pan ze mną, drogi panie; ale w obecności dozorca więzienia, a zwłaszcza przytułku chciej nie wyrażać sądu o rzeczach, które będziemy widzieli.

Pan Appert rozumiał, że ma do czynienia z dzielnym człowiekiem; udał się za czcigodnym proboszczem, zwiedził więzienie, areszt, zadał wiele pytań i mimo dziwnych odpowiedzi

nie pozwolił sobie na najmniejszą krytykę.

Zwiedzanie trwało kilka godzin. Proboszcz zaprosił pana Appert na obiad, ale ten wymówił się pilną korespondencją: nie chciał bardziej jeszcze narażać swego szlachetnego towarzysza. Około trzeciej poszli dokończyć inspekcji przytułku, następnie wrócili do więzienia. Zastali w progu dozorcę, olbrzymą o sześciu stopach wzrostu i kabłąkowatych nogach: niktzemna jego fizjonomia stała się wstrętna pod wpływem strachu.

– Proszę dobrodzieja – rzekł na widok proboszcza – czy ten pan, który przyszedł z księdzem proboszczem, to nie pan Appert?

– A o co chodzi? – spytał proboszcz.

– Ano bo wczoraj otrzymałem najściślejszy rozkaz – od pana prefekta, żandarm pędził galopa całą noc! – aby nie wpuszczać pana Appert do więzienia.

– Oświadczam panu, panie Noiroud – rzekł proboszcz – że ten podróżny, który mi towarzyszy, to właśnie pan Appert. Czy uznajesz, że mam prawo wchodzić do więzienia o każdej porze dnia i nocy, wprowadzając kogo mi się podoba?

– Tak, księżu proboszczu – odparł dozorca ciszej, spuszczać głowę jak buldog przed kijem. – Tylko, że proszę księdza, ja mam żonę i dzieci; skoro mnie ktoś zdradzi, wypędzą mnie, a to miejsce to całe moje utrzymanie.

– I mnie byłoby przykro stracić swoje – odparł dobry proboszcz wzruszony.

– Cóż za różnica! – odparł żywo dozorca – Toć wiadomo, że

ksiądz ma osiemset funtów renty, ładny kawałek ziemi...

Oto fakty, które komentowane, powiększane na dwadzieścia sposobów poruszały od dwóch dni namiętność małego miasteczka. One to właśnie stanowiły treść rozmowy państwa de Rênal. Tego rana w towarzystwie pana Valenod, dyrektora przytułku, mer udał się do proboszcza, aby mu wyrazić najwyższe niezadowolenie. Ksiądz Chélan nie miał protektorów, zrozumiał całą doniosłość tych słów.

– Dobrze więc, panowie, będę trzecim proboszczem, którego, w osiemdziesiątym roku życia, usuną w tej okolicy. Jestem tu od pięćdziesięciu lat; ochrzciłem prawie wszystkich mieszkańców miasta, które było lichą wioszczyną, kiedym przybył. Daję co dzień śluby młodym, których dziadkom dawałem ślub niegdyś. Verrières to moja rodzina; ale powiedziałem sobie, widząc tego przybysza: „Ten paryżanin może być w istocie liberałem; mamy ich nazbyt wielu; ale co może złego zrobić naszym biednym więźniom?”.

Gdy wymówki mera, a zwłaszcza pana Valenod, dyrektora przytułku, stawały się coraz żywsze, stary proboszcz wykrzyknął drżącym głosem:

– Więc dobrze, panowie, usuńcie mnie. I tak zostanę w tych stronach. Wiadomo, że przed czterdziestu laty odziedziczyłem kawałek ziemi, przynoszący osiemset funtów; będę żył z tego. Nie robię oszczędności na swojej posiadzie, panowie; dlatego może nie jestem zbyt przerażony groźbą jej utraty.

Pan de Rênal żył bardzo dobrze z żoną; ale nie wiedząc, co

odpowiedzieć na jej nieśmiałą uwagę: „Cóż ten pan z Paryża może złego zrobić więźniom?”, był już gotów wybuchnąć na dobre, kiedy pani wydała krzyk. Średni syn wdrapał się na parapet i biegł po nim, mimo że mur wznosił się na dwadzieścia stóp nad winnicą. Bojąc się przestraszyć syna i przyprawić go o upadek, pani de Rênal nie śmiała wyrzec słowa. Wreszcie dzieciak, uszczęśliwiony z tego aktu dzielności, spojrzawszy na matkę, ujrzał jej bladość, zeskoczył i podbiegł ku niej. Wyłajano go porządnie.

To drobne wydarzenie zmieniło bieg rozmowy.

– Trzeba bezwarunkowo wziąć do domu młodego Sorela, syna tracza – rzekł pan de Rênal – będzie dozorował dzieci, które jak dla nas robią się nadto wielkie zbijaki. Ten młody księżyk czy kleryk, dobry przy tym łacinnik, potrafi pokierować chłopcami; mówił mi proboszcz, że to tęgi charakter. Dam mu trzysta franków i życie. Miałem skrupuły co do jego moralności, był bowiem beniaminkiem starego felczera, kawalera legii, który pod pozorem pokrewieństwa odnajmował izdebkę z wiktem u Sorełów. Ten człowiek mógł w gruncie bardzo łatwo być po prostu tajnym agentem liberałów; powiadał, że górskie powietrze dobrze mu robi na astmę; ale ostatecznie to nie żaden dowód. Przebył wszystkie kampanie *Buonapartego* we Włoszech, a nawet, jak powiadają, podpisał swego czasu protest przeciw wprowadzeniu Cesarstwa. Ten liberał uczył po trosze łaciny młodego Sorela i zostawił mu książki, które przywiózł z sobą. Toteż nigdy nie przyszłoby mi do głowy brać tego chłopca

do naszych dzieci; ale proboszcz właśnie w wilię sceny, która poróżniła nas na zawsze, powiedział mi, że Sorel studiuje od trzech lat teologię z zamiarem wstąpienia do seminarium; nie jest zatem liberałem, a umie po łacinie.

Kombinacja ta ma różne dobre strony – ciągnął pan de Rênal, spoglądając na żonę z miną dyplomaty. – Valenod jest bardzo dumny z pary cugowych normandów, które kupił; ale nie ma korepetytora.

– Żeby go nam tylko nie odmówił.

– Pochwalasz więc mój projekt? – rzekł pan de Rênal, dziękując uśmiechem żonie za szczęśliwą myśl. – Zatem rzecz postanowiona.

– Ach, Boże! Mężu, jak ty się szybko decydujesz!

– Bo ja mam charakter; proboszcz przekonał się o tym. Nie ma co owijać w bawełnę, jesteśmy tu otoczeni liberałami. Wszyscy ci fabrykanci perkalików zazdroszczą mi, wiem; paru z nich zbiło ładny majątek; dobrze tedy! Niech widzą synów pana de Rênal, idących na przechadzkę z *preceptorem*. To imponuje. Dziadek opowiadał nam często, że w młodości miał preceptora. Będzie mnie to kosztowało sto talarów, ale można je wciągnąć w rubrykę wydatków reprezentacyjnych.

To nagłe postanowienie pogrążyło panią de Rênal w zadumie. Była to wysoka, kształtna kobieta, już jako panna znana w okolicy z urody. Miała w sobie jakąś prostotę, coś młodego w ruchach: w oczach paryżanina ten naiwny wdzięk pełen niewinności i życia, zbudziłby może obrazy pełne słodkiej

rozkoszy. Gdyby pani de Rênal mogła się domyślać triumfu tego rodzaju, uczułaby się z pewnością bardzo zawstydzona. Ani zalotność, ani mizdrzenie się nie zagościły nigdy w jej sercu. Szeptano, że Valenod, bogaty dyrektor przytułku, zalecał się do niej swego czasu, ale na próżno, co rzuciło osobliwy blask na cnotę pani de Rênal; Valenod bowiem, słuszny młody człowiek o atletycznej budowie, z rumianą twarzą i bujnymi czarnymi bokodrodami, był z typu owych grubych i hałaśliwych brutalów, którym na prowincji daje się miano „przystojnych mężczyzn”.

Panią de Rênal, osobę nader nieśmiałą, z pozoru bardzo nierówną, razila zwłaszcza ustawiczna ruchliwość i donośny głos pana Valenod. Niechęć do tego, co w Verrières nazywa się wesołością, zyskała jej reputację osoby bardzo dumnej ze swego urodzenia. Nie czyniła tego rozmyślnie, ale była bardzo rada, że mieszkańcy Verrières rzadziej ją odwiedzają. Nie będziemy ukrywali, iż w oczach miejscowych pań uchodziła za głupią, ponieważ nie uprawiając wobec męża żadnej polityki, przepuszczała najlepsze sposobności zdobycia ładnych kapeluszy z Paryża lub z Besançon. Byle jej pozwolono błędzić samotnie po ogrodzie, nie skarżyła się nigdy.

Była to naiwna dusza, która nigdy nie odważyła się sądzić męża i przyznać sama przed sobą, że ją nudzi. Nie uświadamiając sobie tego jasno, przypuszczała, że stosunki między mężem a żoną nie bywają miłsze. Lubiła zwłaszcza, kiedy jej mówił o przyszłości synów, z których jednego przeznaczył do wojska, drugiego do urzędu, a trzeciego na

księdza. Ogółem wzięwszy, pan de Rênal wydawał się jej o wiele mniej nudny niż wszyscy inni.

Ten sąd był dość racjonalny. Burmistrz zawdzięczał reputację dowcipu, a zwłaszcza dobrego tonu kilkunastu anegdotom odziedziczonym po wuju. Stary kapitan de Rênal służył przed Rewolucją w pułku księcia Orleańskiego i kiedy bawił w Paryżu, miał wstęp na salony księcia. Poznał tam panią de Montesson, sławną panią de Genlis, pana Ducrest, twórcę *Palais-Royal*. Osobistości te powtarzały się aż nazbyt często w anegdotach pana de Rênal. Ale z czasem wywoływanie wspomnień rzeczy tak subtelnych stało się dlań pracą; toteż od pewnego czasu jedynie w ważnych okolicznościach wydobywał swoje anegdoty *orleańskie*. Ponieważ był zresztą bardzo grzeczny (z wyjątkiem gdy chodziło o pieniądze), uchodził słusznie za najdystygowańszą²² osobistość w całym Verrières.

²² najdystygowańszą – dziś popr.: najbardziej dystygowana. [przypis edytorski]

IV. Ojciec i syn

*E sarà mia colpa
Se così è?*

Macchiavelli.

„Moja żona ma, doprawdy, rozum! – powiadał sobie nazajutrz o szóstej rano burmistrz, schodząc ku tartakowi starego Sorela. – Nie przyznałem jej tego, dla zachowania wyższości, jaka mi przynależy; niemniej nie pomyślałem o tym, że, jeśli nie wezmę tego księżyka, który podobno mówi po łacinie jak anioł, dyrektor przytułku, ten zachłanny człowiek, mógłby łatwo wpaść na tę samą myśl i sprzątnąć mi go. Z jaką by on arogancją mówił o swoim *preceptorze!*... Hm, czy ten chłopiec, skoro już będzie u mnie, zechce nosić sutannę?”

Pan de Rênal rozważał tę wątpliwość, kiedy ujrzał z dala wysokiego chłopca, który od świtu zdawał się wielce zajęty mierzeniem drzewa złożonego wzdłuż rzeki. Człowiek ten nie był zbyt uszczęśliwiony z widoku mera; kloce zawały gościniec i znajdowały się tam wbrew przepisom.

Stary Sorel (on to był bowiem) był bardzo zdziwiony, a jeszcze bardziej rad z osobliwej propozycji pana de Rênal. Mimo to wysłuchał z markotną i obojętną miną, jaką mieszkańcy owych stron tak dobrze umieją osłaniać swą przebiegłość. Przebywszy

długi czas pod jarzmem hiszpańskim zachowali jeszcze ten rys egipskich *fellahów*.

Odpowiedź Sorela była zrazu i jakby na pamięć wyuczoną formułą szacunku. Podczas gdy powtarzał te czcze słowa z niepewnym uśmiechem potęgującym wrodzony jego fizjonomii wyraz fałszu i niemal hultajstwa, czynny umysł wieśniaka silił się odgadnąć, co za powód może mieć człowiek tak znaczny, aby brać do domu jego ladaco-synalka. On sam był bardzo niezadowolony z Juliana; i oto pan de Rênal ofiaruje zań nieoczekiwaną pensję trzystu franków rocznie, z życiem, a nawet ubraniami! Pan de Rênal przyjął ten ostatni warunek, który ojciec Sorel sformułował w lot z genialną przytomnością umysłu.

Pretensja ta uderzyła mera. „Skoro Sorel nie jest (jakby powinien być) uszczęśliwiony, zachwycony moją propozycją, jasne jest (rzekł sobie mer), iż musiał go już nagabywać kto inny; a któż by, jeśli nie Valenod?” Próżno pan de Rênal przyciskał Sorela, aby zaraz dobił targu; chytry stary bronił się uparcie. Musi, powiadał, poradzić się syna. Jak gdyby na prowincji bogaty ojciec radził się – inaczej niż dla formy – syna, który nie ma nic!

Podstawą tartaku jest buda nad strumieniem. Dach wznosi się na belkowaniu, które znowuż spoczywa na czterech słupach. Na wysokości dziesięciu stóp w szopie widać piłę, która porusza się pionowo, bardzo zaś prosty mechanizm popycha ku tej pile sztukę drzewa. Koło obracane wodą spełnia tę podwójną robotę.

Zbliżając się do swej budy Sorel zawołał Juliana stentorowym głosem; nikt nie odpowiedział. Ujrzał jedynie starszych synów,

k którzy zbrojni siekierami ociosywali pnie przeznaczone pod piłę. Bacząc pilnie na czarną linię wykreśloną wzdłuż bala, odłupywali za każdym uderzeniem olbrzymie szczapy. Nie słyszeli głosu ojca. Stary wszedł i na próżno szukał Juliana w jego zwykłym miejscu obok piły. Siedział o kilka stóp wyżej, okrakiem na belce; miał nadzorować czynność mechanizmu, chłopiec czytał. Nic bardziej nie drażniło starego: przebaczyłby może Julianowi jego szczupłą postać, mało sposobną do ciężkiej pracy i tak różną od starszych braci; ale ta mania czytania była mu wstrętna: on sam nie umiał czytać.

Daremnie wołał kilka razy. Hałas piły, ale bardziej jeszcze uwaga, z jaką chłopiec utonął w książce nie pozwoliły mu słyszeć strasznego głosu ojca. Wreszcie, mimo swego wieku, stary wskoczył lekko na piłowane drzewo, a stamtąd na poprzeczną belkę podtrzymującą dach. Gwałtowne uderzenie posłało w strumień książkę, którą Julian miał w rękę; drugi cios, równie silny, wymierzony na odlew w głowę chłopca przyprawił go o utratę równowagi. Byłby się potoczył w dół, między miażdżące tryby, ale ojciec przytrzymał go lewą ręką.

– A, leniu! Wiecznie będziesz czytał swoje przeklęte książki, gdy masz pilnować roboty? Czytaj wieczór, wówczas gdy tracisz czas darmo u proboszcza; wtedy, owszem.

Julian, mimo iż ogłuszony i zlany krwią, udał się na swój posterunek koło piły. Miał łzy w oczach, nie tyle z bólu, ile z powodu straty uwielbianej książki.

– Złaż, ciemiego, mam z tobą do pomówienia. – Hałas nie

pozwoił Julianowi dosłyszeć tego rozkazu. Ojciec, który już zeszedł, nie chcąc powtórnie gramolić się na rusztowanie, wziął żerdź do strącania orzechów i trącił go po ramieniu. Ledwie Julian znalazł się na ziemi, stary pognał go przed sobą do domu. „Bóg wie, co mnie tam czeka!” – myślał chłopiec. Po drodze spoglądał smutno na strumień, w który wpadła jego książka; była to najulubieńsza ze wszystkich: *Pamiętnik z wyspy św. Heleny*.

Policzki miał purpurowe, oczy spuszczone. Był to nieduży chłopiec osiemnasto- lub dziewiętnastoletni, dość wątyły; rysy miał nieregularne, ale delikatne, nos orli. Wielkie, czarne oczy, które w chwilach spokoju błyszczały inteligencją, w tej chwili wyrażały najdzikszą nienawiść. Ciemnokasztanowate włosy nad niskim czołem dawały w chwili gniewu twarzy jego zły wyraz. Pośród niezliczonych odmian fizjonomii ludzkich niełatwo spotkałoby się wyrazistszą. Smukła kibić zdradzała więcej lekkości niż siły. Od wczesnego dzieciństwa wyraz szczególnej zadumy oraz uderzająca bladość chłopca wyrobiły w ojcu mniemanie, że nie będzie żył lub stanie się rodzinie ciężarem. Będąc przedmiotem wzgardy całego domu, Julian nienawidził braci i ojca; w niedzielę podczas zabaw zawsze był ofiarą.

Od roku blisko ładna jego twarzyczka zaczynała mu zyskiwać sympatię młodych dziewcząt. Lekceważony przez wszystkich jako istota słaba, Julian uwielbiał owego starego felczera, który ośmielił się raz zagadnąć mera w kwestii jaworów.

Felczer ów płacił niekiedy Sorełowi dzienną robociznę za

syna, aby go uczyć łaciny i historii, to znaczy tego, co wiedział z historii: kampanii włoskiej z 1796. Umierając, zapisał mu swój krzyż legii, zaległość swej emerytury oraz kilkadziesiąt tomów, z których najcenniejszy skąpał się właśnie w *strumieniu publicznym*, odwróconym dzięki stosunkom pana mera.

Wszedłszy do domu, Julian uczył na ramieniu potężną dłoń ojca; drżał, spodziewając się nowych razów.

– Odpowiadaj bez łgarstwa – zakrzyczał mu w ucho twardy głos starego chłopca, gdy ręka ojca kręciła nim jak dziecko ołowianym żołnierzem. Wielkie czarne oczy Juliana, napełnione łzami, znalazły się na wprost szarych oczków cieśli, który zdawał się czytać w samym dnie jego duszy.

V. Układy

Cunctando restituit rem.

Ennius.

– Odpowiadaj bez łągarstwa, jeśli potrafisz, hyclu jeden: skąd znasz panią de Rênal? Kiedyś z nią mówił?

– Nigdy nie mówił – odparł Julian – widziałem ją w kościele.

– Aleś patrzył na nią, bezwstydnego ładaco?

– Nigdy! W kościele widzę tylko Boga – dodał Julian z obłudną miną, stanowiącą w jego mniemaniu tarczę przeciw nowym uderzeniom.

– Coś w tym siedzi – mruknął chytry kmiotek i zamilkł na chwilę – ale z ciebie nic nie wycisnę, obłudniku przekłety. Mniejsza z tym, uwolnię się od ciebie, a tartak tylko skorzysta. Pozyskałeś sobie proboszcza czy innego diabła, który ci się wystarał o ładną posadę. Idź spakować rzeczy, zaprowadzę cię do pana de Rênal, gdzie będziesz preceptorem przy dzieciach.

– Cóż za to dostanę?

– Życie, ubranie i trzysta franków rocznie.

– Ja nie chcę być lokajem.

– Tumanie, kto mówi o lokaju? Czy ja bym pozwolił, aby mój syn był lokajem?

– Ale z kim będę jadał?

Pytanie to zbiło z tropu starego; uczuł, że mówiąc więcej, mógłby strzelić bąka; uniósł się na Juliusza, którego zasypał obelgami wyrzucając mu łakomstwo, po czym odszedł, aby się naradzić z synami.

Julian ujrzał niebawem, jak wsparci na siekierach skupili się w poufnej rozmowie. Przyglądał się im długo, ale widząc, iż nic nie zdoła odgadnąć, przeszedł na drugą stronę tartaku, aby go nikt nie zaskoczył. Chciał dumać nad tą niespodzianą nowiną, która zmieniała jego losy, ale czuł się niezdolny do skupienia; wyobraźnia jego cała utonęła w rojeniach o tym, co ujrzy w pięknym domu pana de Rênal.

Raczej się go wyrzec, myślał, niż jadać ze służbą. Ojciec zechce mnie zmusić: prędzej zginę. Mam oszczędzonych przeszło piętnaście franków, drapnę tej nocy; w trzy dni bocznymi drogami, gdzie mnie żaden żandarm nie dosięgnie, będę w Besançon: zaciągnę się do wojska lub w danym razie przekradnę się do Szwajcarii. Ale wówczas przepadła kariera, przepadła ta piękna sukienka kapłańska, która wiedzie do wszystkiego.

Ten wstręt do jądania ze służbą nie był u Juliana wrodzony; aby *wyplłynąć*, zgodziłby się na rzeczy o wiele cięższe. Odrazę tę zaczerpnął w *Wyznaniach* Russa: jedynej książce, z której czerpał pojęcie o świecie. *Biuletyny Wielkiej Armii* oraz *Pamiętnik z wyspy św. Heleny* uzupełniały jego Koran. Dałby się zabić za te trzy dzieła: nie wierzył w żadne inne. Na wiarę starego chirurga, wszystkie książki uważał za cygaństwa pisane

przez szalbierzy dla kariery.

Obok płomiennej duszy Julian posiadał zdumiewającą pamięć, tak często zresztą zdarzającą się u ludzi skądinąd miernych. Aby sobie zjednać księdza Chélan, rozumiejąc, iż od niego zależy jego los, nauczył się na pamięć Nowego Testamentu po łacinie; znał też na wylot książkę *O Papieżu* pana de Maistre, ale równie mało wierzył w jedno jak i drugie.

Jakby za wspólną zgodą Sorel i jego syn unikali tego dnia rozmowy. Wieczorem Julian udał się na lekcję do proboszcza, ale nie uważał za właściwe wspomnieć o niezwyklej propozycji. „Może to pułapka – myślał – trzeba udać, żem zapomniał o wszystkim”.

Nazajutrz wczesnym rankiem pan de Rênal posłał po starego Sorel, który, dawszy na siebie czekać dobrą godzinę, przybył w końcu, przepraszając od drzwi wśród mnóstwa ukłonów. Zagadując o tym i owym, Sorel wyrozumiał, że syn będzie jadał z państwem, w dniu zaś, gdy będą goście, sam z dziećmi. Wciąż mnożąc trudności w miarę, jak widział niecierpliwość mera, zresztą pełen nieufności i zdumienia, stary zażądał, aby mu pokazano sypialnię. Był to duży, przyzwoicie umeblowany pokój, do którego przenoszono właśnie łóżka chłopców.

Okoliczność ta była błyskiem światła dla starego wieśniaka; pewniejszym już głosem zażądał, aby mu pokazano ubranie syna. Pan de Rênal otworzył biurko i wyjął sto franków.

– Syn pański uda się z tą kwotą do pana Durand, sukiennika, i sprawi sobie kompletne czarne ubranie.

– A gdybym go odebrał – rzekł chłop, zapominając nagle o czołobitności – czy odzież zostanie przy nim?

– Oczywiście.

– Zatem – rzekł Sorel rozwlekłym głosem – zostaje tylko jedno; porozumieć się co do pensji, którą mu pan przeznaczasz.

– Jak to! – wykrzyknął pan de Rênal oburzony. – Zgodziliśmy się przecie wczoraj: daję trzysta franków; zdaje mi się, że to dużo, może za dużo.

– Tyle pan proponował, nie przeczę – rzekł stary jeszcze wolniej; po czym z genialną intuicją zdolną zdziwić jedynie tych, którzy nie znają chłopów z Franche-Comté, dodał, patrząc w oczy panu de Rênal – *Dają nam więcej.*

Na te słowa mer zmienił się na twarzy. Przyszedł wszelako do siebie; po wytrawnej rozmowie trwającej dobre dwie godziny, gdzie ani jedno słowo nie padło lekko, przebiegłość chłopca wzięła górę nad przebiegłością bogacza, dla którego ona nie jest kwestią życia. Ustalono punkty regulujące egzystencję Juliana: nie tylko pensję podniesiono do czterystu franków, ale miała być płatna z góry, z początkiem każdego miesiąca.

– Więc dobrze, wręczę mu trzydzieści pięć franków – rzekł pan de Rênal.

– Dla okrągłości, taki bogaty i hojny pan – rzekł chłop przymilnie – da już trzydzieści sześć.

– Niech będzie – rzekł pan de Rênal – ale skończmy już.

Tym razem gniew nadał jego słowom stanowczość. Chłop zrozumiał, że nie można iść dalej. Z kolei pan de Rênal zaczął

robić trudności. Stanowczo nie zgodził się wręczyć płacy za pierwszy miesiąc staremu, który skwapliwie chciał ją odebrać za syna. Panu de Rênal przyszło na myśl, że będzie musiał zdać sprawę żonie z tej negocjacji.

– Oddajcie mi sto franków, które wam dałem – rzekł z podrażnieniem. – Durand jest mi coś tam winien; pójdę sam z Julianem zamówić ubranie.

Wobec tego wysokoku energii, Sorel cofnął się ostrożnie w formuły czołobitości, które zajęły dobry kwadrans. Wreszcie widząc, że już stanowczo nie ma nic do wytargowania, odszedł. Ostatni ukłon zakończył słowami:

– Zaraz przyślę syna do pałacu.

W ten sposób *poddani* pana mera nazywali jego dom, kiedy chcieli mu sprawić przyjemność.

Wróciwszy do tartaku, Sorel na próżno szukał syna. Niepewny, co się zdarzy, Julian wymknął się w nocy: chciał ubezpieczyć swoje książki i krzyż legii. Przeniósł wszystko do młodego handlarza drzewem, nazwiskiem Fouqué, swego przyjaciela, który mieszkał na zboczu góry nad Verrières.

Skoro się Julian zjawił, stary rzekł:

– Bóg to wie, przekłety leniuchu, czy będziesz miał kiedy tyle sumienia, aby mi zwrócić to, co na ciebie łożę od tylu lat! Bierz swoje łachy i idź do pana mera.

Julian, zdziwiony, że się obeszło bez bicia, ruszył czym prędzej. Ale ledwie zszedł z oczu groźnemu ojcu, zwolnił kroku. Pomyślał, iż z korzyścią dla jego hipokryzji będzie wstąpić do

kościół.

Dziwi was to słowo? Nim doszła do tego ohydnego słowa, dusza młodego wieśniaka musiała przebiec wiele drogi.

W dzieciństwie widział, jak dragoni szóstego pułku²³ w długich, białych płaszczach, w kaskach z czarną włosianą kiścią, wracając z Włoch, wiązali konie do zakratowanego okna ojcowskiego domu: widok ten obudził w nim szaloną namiętność do wojska. Później słuchał z upojeniem o bitwach pod Lodi, Arcole, Rivoli, o których opowiadał mu stary chirurg. Widział płomienie w oczach starca, kiedy spoglądał na swój krzyż.

Ale kiedy Julian miał czternaście lat, zaczęto budować w Verrières kościół, który jak na małe miasteczko można było nazwać wspaniałym. Oko Juliana uderzyły zwłaszcza cztery marmurowe kolumny; stały się sławne w okolicy przez śmiertelną nienawiść, jaką wznieciły między sędzią pokoju a młodym wikarym przysłanym z Besançon i uchodzącym za szpiega kongregacji. Sędzia pokoju omal nie stracił miejsca: przynajmniej tak powszechnie mówiono. Ośmielił się wejść w zatarg z księdzem, który prawie co dwa tygodnie bywał w Besançon, gdzie, powiadano, widywał samego biskupa!

Wówczas to sędzia pokoju, ojciec licznej rodziny, wydał kilka wyroków rażących swą niesprawiedliwością: wszystkie godziły w obywateli czytujących dziennik „*Constitutionnel*”. Dobra sprawa triumfowała. Chodziło, co prawda, tylko o

²³ widział, jak dragoni szóstego pułku – Autor był podporucznikiem w 6 pułku dragonów w 1800. [przypis tłumacza]

sumy kilkufrankowe; jedna z tych grzywien dosięgła pewnego gwoździarza, chrzestnego ojca Juliana. Oburzony, człowiek ów wykrzyknął: „Cóż za zmiana i powiedzieć, że od dwudziestu z górą lat sędzia uchodził za uczciwego człowieka!”.

Stary chirurg, przyjaciel Juliana, nie żył już wówczas.

Naraz Julian przestał mówić o Napoleonie i oznajmił, że pragnie zostać księdzem. Widywano go stale w tartaku, jak uczył się na pamięć łacińskiej Biblii pożyczonej od proboszcza. Dobry staruszek, zachwycony postępami chłopca, trawił całe wieczory, kształcąc go w teologii... Julian objawiał same pobożne uczucia. Któż by mógł zgadnąć, że ta dziewczęca twarzyczka, tak blada i słodka, kryje niewzruszone postanowienie zrobienia kariery za wszelką cenę?

Dla Juliana kariera to było przede wszystkim opuścić Verrières: nienawidził rodzinnego miasta; wszystko tam mroziło jego wyobraźnię.

Od wczesnego dzieciństwa miewał momenty egzaltacji. Myślał wówczas z rozkoszą, że kiedyś pozna piękne panie paryskie: potrafi ściągnąć na siebie uwagę jakim świetnym czynem. Czemu jedna z nich nie miałyby go pokochać, tak jak Napoleona, jeszcze wówczas biedaka, pokochała świetna pani de Beauharnais? Od wielu lat nie minęła może godzina w życiu Juliana, w której by sobie nie powtarzał, że Bonaparte, ubogi i nieznany podporucznik, zdobył królestwo świata ostrzem szpady. Myśl ta była mu pociechą w nieszczęściach, które zdawały mu się wielkie, a zdwajała jego radość, kiedy miał jaką.

Budowa kościoła i wyroki sędziego pokoju oświeciły go nagle; idea, która nim owładnęła, oszołomiła go na kilka tygodni, wreszcie zaś ogarnęła go z całą potęgą pierwszej myśli, którą płomienna dusza uważa za swój wynalazek.

„Kiedy zaczęto się zajmować Bonapartem, Francja była pod grozą najazdu; cnoty wojskowe były potrzebne i modne. Dziś czterdziestoletni księża mają po sto tysięcy franków pensji, to znaczy trzy razy tyle co słynni wodzowie napoleońscy. Oto nasz sędzia pokoju, zdolny, tak uczciwy dotąd, stary, poświęca honor, aby się nie narazić trzydziestoletniemu wikariuszowi. Trzeba zostać księdzem”.

Raz, w pełni neofityzmu pobożności – mijają już dwa lata, jak Julian studiował teologię – zdradził Juliana nagły wybuch ognia pożerającego jego duszę. Było to u księdza Chélan; przy obiedzie, przed którym dobry proboszcz przedstawił go innym księżom jako cud nauki, zdarzyło mu się odezwać z uwielbieniem o Napoleonie! Przywiązał sobie prawe ramię do piersi, powiedział, że wytknął rękę, podważając drzewo, i wytrwał dwa miesiące w tej niewygodnej pozycji. Wycierpiawszy tę dotkliwą karę, przebaczył sobie. Takim był ów młodzieniec osiemnastoletni, ale wąty z pozoru i wyglądający najwyżej na lat siedemnaście, który niosąc zawiniątko pod pachą, wszedł do wspaniałego kościoła w Verrières.

Kościół był ciemny i pusty. Z powodu jakiejś uroczystości okna zasłonięto karmazynową materią; wnikające promienie tworzyły olśniewającą grę światła, wspaniałą i mistyczną

zarazem. Julian zadrżał. Był sam; usiadł w najwspanialszej ławce zdobnej herbem pana de Rênal.

Na klęczniku Julian zauważył kawałek drukowanego papieru rozłożony jakby umyślnie. Spojrzał i przeczytał: „Szczegóły egzekucji i ostatnich chwil Ludwika Jenrel, straconego w Besançon...”

Reszty brakowało. Na drugiej stronie widniały tylko pierwsze słowa: *Pierwszy krok*.

„Kto mógł rzucić ten papier? – pomyślał Julian. – Biedny człowiek! – dodał z westchnieniem – nazwisko brzmi podobnie do mojego...”

I zmiął papier.

Wychodząc, Julian miał wrażenie, że widzi koło kropielnicy krew: rozlana święcona woda w odblasku czerwonych firanek przybrała kolor krwi.

Po chwili Julian zawstydził się swego tajemnego lęku.
– Byłżebym tchórzem? – szepnął – *do broni!*

To słowo, powtarzające się tak często w opowieściach starego chirurga, miało dla Juliana dźwięk bohaterski. Wstał i skierował się szybko ku domostwu pana de Rênal.

Mimo tych pięknych postanowień o dwadzieścia kroków od celu ogarnęła go straszliwa nieśmiałość. Żelazna brama (wydała mu się czymś wspaniałym) była otwarta; trzeba było wejść.

Nie tylko sam Julian wylękniony był swym przybyciem. Panią de Rênal, istotę nadzwyczaj nieśmiałą, niepokoili myśl o tym obcym, który mocą swego stanowiska wiecznie się będzie

znajdował między nią a dziećmi. Przywykła, iż chłopcy sypiali w jej pokoju; spłakała się tego rana, widząc, jak przenoszą łóżeczka do pokoju preceptora. Daremnie prosiła męża, aby jej zostawiono choć najmłodszego.

Pani de Rênal posiadała delikatność kobiecą rozwiniętą w wysokim stopniu. Tworzyła sobie najgorszy obraz pospolitego i rozczochanego osobnika mającego z urzędu łajać jej dzieci jedynie dlatego, że zna łacinę, barbarzyński język, za który jej synowie będą brali chłostę.

VI. Nuda

*Non so più cosa son
Cosa faccio.*

Mozart, Figaro.

Z żywością i wdziękiem, które były jej wrodzone, kiedy się czuła z dala od męskich spojrzeń, pani de Rênal wychodziła oszklonymi drzwiami do ogrodu. Spozrzegła u bramy młodego wieśniaka, dziecko niemal, z twarzą bardzo ładną i noszącą ślady łez. Był w czystej koszuli, pod pachą zaś miał schludny surducik drelichowy.

Cera chłopca była tak biała, oczy tak słodkie, iż w romantycznym nieco umyśle pani de Rênal poczęła się zrazu myśleć, że to może być przebrana dziewczyna, przychodząca prosić pana mera o jakąś łaskę. Uczuła litość dla nieboraka, który stał jak wryty i widocznie nie śmiał pociągnąć dzwonka. Pani de Rênal zbliżyła się, zapominając na chwilę o trosce, jaką budziła w niej myśl o preceptorze. Julian, wpatrzony w bramę, nie widział pani de Rênal. Zadrzał, kiedy łagodny głos ozwał się tuż nad jego uchem:

– Czego sobie życzysz tutaj, dziecko?

Julian obrócił się żywo; uderzony pełnym wdzięku spojrzeniem pani de Rênal zapomniał o swej nieśmiałości.

Niebawem zdumiony jej urodą zapomniał wszystkiego, nawet po co przyszedł. Pani de Rênal powtórzyła pytanie.

– Zgodziłem się za nauczyciela, proszę pani – rzekł wreszcie zawstydzony łzami, które starał się otrzeć ukradkiem.

Pani de Rênal zatrzymała się w zdumieniu; mogli się sobie przyjrzeć z bliska. Julian nie widział nigdy istoty tak ładnie ubranej, ani zwłaszcza z tak olśniewającą cerą: w dodatku przemawiała doń tak łagodnie! Pani de Rênal patrzyła na duże łyzy toczące się po bladych wprzód, tak różowych obecnie policzkach chłopca. Niebawem zaczęła się śmiać z szaloną, dziewczęcą pustotą; śmiała się z siebie, nie mogła się nacieszyć swoim szczęściem. Jak to! To jest ów nauczyciel, którego wyobrażała sobie jako brudnego i źle odzianego klechę mającego łąać i bić jej dzieci!

– Jak to! To pan – rzekła wreszcie – pan umie po łacinie?

To słowo *pan* oszołomiło Juliana, który zacukał się na chwilę.

– Tak, pani – rzekł nieśmiało.

Pani de Rênal czuła się tak szczęśliwa, iż odważyła się spytać:

– Nie będzie pan bardzo łąał biednych malców?

– Ja, pani? – rzekł Julian zdziwiony. – Dlaczego?

– Nieprawdaż – dodała po chwili z rosnącym wzruszeniem – będzie pan dobry dla nich, przyrzeka mi pan?

Po raz drugi, ta pięknie ubrana dama nazywała go zupełnie poważnie *panem*! To przechodziło wszelkie oczekiwania Juliana. W najśmielszych zamkach na lodzie, jakie budowała jego młodość, nie spodziewał się, aby prawdziwa dama raczyła doń

przemówić słowo, zanim będzie w pięknym uniformie. Panią de Rênal znowuż zupełnie zwiódła piękna cera, duże czarne oczy i ładne włosy chłopca, które kręciły się bardziej niż zwykle, ponieważ, pragnąc się ochłodzić, umaczał głowę w studni. Ku wielkiej radości ów nieszczęsny preceptor, którego srogiej i odrażającej miny tak się lękała dla dzieci, wyglądała na nieśmiałą młodą dziewczynę. Dla spokojnej duszy pani de Rênal kontrast między jej obawami a rzeczywistością był wielkim wydarzeniem. Ochłoneła wreszcie; zarazem uczuła się zdziwiona, iż stoi tak pod bramą z młodym chłopcem ledwie że ubranym i tak blisko niego!

– Proszę, chciej pan wejść – rzekła lekko zakłopotana.

W życiu swoim nie doznała tak głębokiej i szczerzej przyjemności; jakież lube zjawisko po dręczących obawach! Zatem te śliczne, tak przez nią wypiełgnowane dzieci nie dostaną się w ręce niechlujnego i zgryźliwego klechy. Wszedłszy do sieni, obejrzała się na Juliana, który kroczył za nią nieśmiało. Jego zdumienie na widok tak ładnego domu przydało mu jeszcze wdzięku w oczach pani de Rênal. Nie wierzyła własnym oczom. Wyobrażała sobie zwłaszcza, że preceptor musi być ubrany czarno.

– Więc to prawda – rzekła, przystając jeszcze i drżąc, aby to, co ją przepęłniało takim szczęściem, nie okazało się omyłką – że pan umie po łacinie?

Słowa te uraziły dumę Juliana i rozproszyły czar, pod którym żył od kwadransa.

– Tak, pani – odparł, starając się przybrać oziębłą minę –
umiem po łacinie równie dobrze jak ksiądz proboszcz; czasami
nawet ksiądz Chélan raczej uznawać, że lepiej.

Pani de Rênal wydało się w tej chwili, że Julian ma minę
bardzo surową. Podeszła doń i rzekła:

– Nieprawdaż, w pierwszych dniach nie będzie pan bił
chłopców, choćby nawet nie umieli lekcji?

Słodki, prawie błagalny głos pięknej pani sprawił, że Julian
zapomniał nagle o swej reputacji łacinnika. Twarz pani de Rênal
była tuż przy jego twarzy; uczuł – cóż za wrażenie dla biednego
kmiotka! – zapach letnich sukien kobiecych. Julian zarumienił
się, odetchnął głęboko i rzekł drżącym głosem:

– Niech się pani nie lęka, zrobię wszystko, co pani każe.

W tej chwili dopiero, skoro minęła wszelka obawa o dzieci,
uderzyła panią de Rênal nadzwyczajna uroda Juliana. Kobięca
niemal delikatność rysów oraz wyraz zakłopotania nie wydały
się zgoła śmieszne istocie również niezmiernie lękliwej. Wyraz
męskości, uważany powszechnie za podstawę urody, byłby ją
wystraszył.

– Ile pan ma lat? – spytała.

– Niedługo dziewiętnaście.

– Mój najstarszy ma jedenaście – odparła pani de Rênal
zupełnie już uspokojona. – Będzie prawie pana kolegą, przemówi
mu pan do rozsądku. Raz ojciec chciał go wybić, dziecko
odchorowało to blisko tydzień, choć skończyło się na klapsie.

„Cóż za różnica! – pomyślał Julian. – Wczoraj jeszcze ojciec

mnie zbił. Jacy ci bogacze szczęśliwi!”

Pani de Rênal już była wrażliwa na najłżejsze odcienie tego, co się działo w duszy preceptora; wzięła ten odruch smutku za nieśmiałość, chciała mu dodać odwagi.

– Jak panu na imię? – rzekła z wdziękiem, którego, mimo iż bezwiednie, Julian odczuł cały urok.

– Zowią się Julian Sorel; z drzeniem przestępuję pierwszy raz w życiu próg obcego domu; trzeba mi pani dobroci, trzeba, aby mi pani wiele wybaczyła w pierwszych dniach. Nie posyłano mnie do szkół, byłem za biedny, nie rozmawiałem z nikim prócz krewniaka mego, chirurga polowego, kawalera legii oraz księdza Chélan. Proboszcz da pani o mnie dobre świadectwo. Bracia bili mnie zawsze; proszę im nie wierzyć, kiedy będą źle mówili o mnie; i niech mi pani daruje, jeśli co źle zrobię, bo to z pewnością nieumyślnie.

Julian ochłonał podczas tej przemowy; przyglądał się pani de Rênal. Oto skutek doskonałego wdzięku, wówczas kiedy jest wrodzony i naturalny: Julian, który znał się dobrze na urodzie kobiecej, byłby przysiągł w tej chwili, że pani de Rênal ma nie więcej niż dwadzieścia lat. Powziął śmiałą myśl, aby ją pocałować w rękę; niebawem uląkł się tej myśli, w chwilę potem rzekł sobie:

„Byłoby tchórzostwem nie spełnić zamiaru, który może mi dopomóc i zmniejszyć wzdargę tej pięknej pani dla biednego drwala!”

Od pół roku Julian słyszał czasem w niedzielę, jak dziewczęta

nazywały go *ładnym chłopcem*; może to mu dodało odwagi? Gdy przechodził te wewnętrzne walki, pani de Rênal udzielała mu wskazówek co do pierwszego zbliżenia z dziećmi. Z wysiłku Julian znowu pobladł; rzekł zmienionym głosem:

– Przysięgam pani wobec Boga, że nigdy nie podniosę ręki na jej dzieci.

Mówiąc to, odważył się ująć dłoń pani de Rênal i podnieść ją do ust. Gest ten zdziwił ją w pierwszej chwili; potem nawet uraził. Ponieważ było bardzo gorąco, miała pod szalem ramiona zupełnie nagie: Julian, podnosząc rękę do ust, odsłonił je całkowicie. Po chwili pani de Rênal uczuła gniew na siebie samą: zdało się jej, że oburzenie nie przyszło dość szybko.

Słyszając głosy, pan de Rênal wyszedł z gabinetu: tym samym majestatycznym i ojcowskim tonem, jaki przybierał w merostwie wobec nowożeńców, rzekł do Juliana.

– Muszę z tobą pomówić, nim przyjdą dzieci.

Wpuścił Juliana do pokoju i zatrzymał żonę, kiedy chciała ich zostawić samych. Zamknąwszy drzwi, pan de Rênal usiadł z powagą.

– Proboszcz polecił mi cię jako dobrego chłopca, wszyscy będą cię tu traktowali uczciwie i jeśli mi się nadasz, pomogę ci w przyszłości znaleźć jaką posadkę. Nie życzę sobie, abyś odtąd widywał twoich krewnych i przyjaciół; ich ton nie może być właściwy dla moich dzieci. Oto trzydzieści sześć franków za pierwszy miesiąc; ale dasz mi słowo, że ani grosza z tej sumy nie oddasz ojcu.

Pan de Rênal czuł złość do starego Sorela, że w tej sprawie okazał się chytrzejszy od niego.

– A teraz, proszę *pana* (z mego rozkazu wszyscy będą cię tu nazywali *panem*; ocenisz całą korzyść pobytu w przyzwoitym domu), nie przystoi, aby dzieci widziały cię w bluzie. Czy służba widziała go? – rzekł pan de Rênal do żony.

– Nie, nie – odparła z wyrazem głębokiej zadumy.

– Doskonale. Włóż pan to – rzekł do zdumionego chłopca, podając mu własny surdut. – Chodźmy teraz do pana Durand, sukiennika.

W dobrą godzinę pan de Rênal wrócił z nowym preceptorem ubranym czarno: zastał żonę siedzącą na tym samym miejscu. Obecność Juliana uspakajała ją: przyglądając mu się, zapomniała o swoich obawach. Julian nie myślał o niej; mimo swej nieufności do losu i ludzi był w tej chwili w duszy jedynie dzieckiem; miał wrażenie, iż przeżył lata całe od chwili, kiedy przed trzema godzinami wchodził z drzeniem do kościoła. Zauważył lodowaty wyraz pani de Rênal: zrozumiał, iż gniewa się o to, że ośmielił się ją pocałować w rękę. Ale uczucie dumy z przyczyny stroju tak odbijającego od jego zwykłej odzieży rozpierało go do nieprzytomności: tak bardzo zaś pragnął ukryć swą radość, iż kręcił się niespokojnie jak szalony. Pani de Rênal przyglądała mu się ze zdziwieniem.

– Więcej powagi, radzę panu – rzekł pan de Rênal – jeśli chcesz wzbudzić szacunek w dzieciach i służbie.

– Państwo wybaczą – rzekł Julian – czuję się nieswój w tym

nowym stroju; ja, biedny wieśniak, nosiłem dotąd jedynie bluzę. Jeśli państwo pozwolą, pójdę na chwilę do siebie.

– Jakże ci się wydaje nowy nabytek? – spytał pan de Rênal żony.

Instynktownym niemal odruchem, z którego z pewnością sama sobie nie zdała sprawy, pani de Rênal ukryła swe prawdziwe uczucie:

– Nie podzielałam tego zachwyty – rzekła. – Względy twoje przewrócą chłopcu w głowie, tak iż nie minie miesiąc, a będziemy zmuszeni odesłać go z powrotem.

– Więc cóż! To go się odprawi; będzie mnie to kosztowało jakieś sto franków, a Verrières przyzwyczai się do widoku preceptora pana de Rênal. Gdybym go zostawił w odzieży robotnika, cel byłby chybiony. Jeśli go oddalę, zatrzymam, rozumie się, czarny garnitur, który zamówiłem u sukiennika. Zostawię mu tylko to, co znalazłem gotowego u krawca i w co go oblekłem na razie.

Godzina, którą Julian spędził w swoim pokoju, wydała się pani de Rênal chwilą. Dzieci, którym oznajmiono nowego preceptora, zasypywały matkę pytaniami. Wreszcie zjawił się Julian. Był to nowy człowiek. Powiedzieć, że był poważny, to mało; był wcieloną powagą. Przedstawiono go dzieciom; przemówił do nich tonem, który zdziwił nawet pana de Rênal.

– Jestem tutaj, panowie – rzekł kończąc – aby was nauczyć łaciny. Wiecie już, co znaczy wydawać lekcje. Oto Pismo Święte – rzekł, pokazując małą książeczkę w czarnej oprawie. – Jest tu

oddzielnie historia Zbawiciela naszego, Jezusa Chrystusa; część, którą nazywamy Nowym Testamentem. Ja was będę często przesłuchiwał, przesłuchajcie i wy mnie.

Adolf, najstarszy, wziął książkę.

– Proszę otworzyć w dowolnym miejscu – rzekł Julian – i poddać mi pierwsze słowo pierwszego wiersza. Wyrecytuję na pamięć tę świętą księgę, najszczytniejszy wzór naszego życia, póki mnie nie zatrzymacie.

Adolf otworzył książkę, poddał słowo, Julian zaś wyrecytował całą stronicę tak swobodnie, jakby mówił po francusku. Pan de Rênal spojrział na żonę z triumfem. Dzieci, widząc zdumienie rodziców, otwarły szeroko oczy. Julian wciąż mówił po łacinie i kiedy zjawił się w drzwiach służący, stanął w pierwszej chwili nieruchomo, następnie znikł. Niebawem zbliżyły się do drzwi pokojówka i kucharka; Adolf otwierał już książkę w szóstym miejscu, a Julian recytował wciąż z tą samą łatwością.

– Och, Boże! Jaki śliczny księżyk – rzekła głośno kucharka, poczciwa i nabożna dziewczyna.

Pan de Rênal uczuł się zaniepokojony w miłości własnej; zamiast egzaminować Juliana, szukał uporczywie w pamięci paru słów łacińskich; wreszcie wyjąkał jakiś wiersz z Horacego. Julian znał po łacinie tylko Biblię; odparł tedy, marszcząc brew:

– Święte powołanie, do którego się sposobie, zabrania mi czytać tak świeckiego poety.

Pan de Rênal przytoczył sporą ilość mniemanych wierszy Horacego. Objął dzieciom, kto był Horacy; ale chłopcy,

przejęci podziwem, nie zwracali na to uwagi. Patrzyli na Juliana.

Ponieważ służba ciągle stała w drzwiach, Julian uważał za stosowne przedłużyć próbę.

– Teraz – rzekł do najmłodszego – niech pan Stanisław także wskaże mi jaki ustęp.

Mały Staś, przejęty dumą, wysylabizował pierwsze słowo, Julian zaś wygłosił całą stronicę. Izby nic nie brakowało do triumfu pana de Rênal, podczas gdy Julian recytował, weszli pan Valenod, posiadacz pięknej pary normandów, oraz podprefekt pan Charcot de Maugiron. Scena ta zjednała Julianowi tytuł *pana*: nawet służba nie śmiała mu go odmówić.

Wieczorem całe Verrières cisnęło się do pana de Rênal, aby ujrzeć to cudo. Julian odpowiadał wszystkim z miną chmurną, trzymając się z dala. Sława jego rozeszła się po mieście tak szybko, że w kilka dni potem pan de Rênal, lękając się, by mu go nie odmówiono, zaproponował podpisanie umowy na dwa lata.

– Nie, proszę pana – odparł chłodno Julian. – Gdyby mnie pan zechciał odprawić, zmuszony byłbym opuścić dom. Umowa, która wiąże mnie, nie zobowiązuje pana do niczego, nie jest równa, nie mogę jej przyjąć.

Julian umiał się tak postawić, iż w niespełna miesiąc sam pan de Rênal musiał go szanować. Ponieważ proboszcz poróżnił się z panami de Rênal i Valenod, nikt nie mógł zdradzić dawnego kultu Juliana dla Napoleona: on sam mówił o swym bożyszczu jedynie ze wstrętem.

VII. Powinowactwa z wyboru

Nie umieją tknąć serca, aby go nie urazić
Współczesny.

Dzieci ubóstwiały go, on ich nie lubił; myśl jego była gdzie indziej. Cokolwiek te smarkacze wyprawiały, nie niecierpliwił się nigdy. Chłodny, sprawiedliwy, niewzruszony, a mimo to kochany, ponieważ przybycie jego wypędziło poniekąd nudę, Julian był dobrym nauczycielem. On sam odczuwał jedynie nienawiść i wstręt do wyższego towarzystwa, gdzie go dopuszczano, co prawda, do szarego końca stołu, co tłumaczy może jego niechęć i wstręt. Zdarzały się wystawne obiady, w czasie których ledwie mógł wstrzymać nienawiść do wszystkiego, co go otaczało. Raz, w dzień Św. Ludwika, gdy pan Valenod rozprawiał w domu państwa de Rênal, Julian omal się nie zdradził; wymknął się do ogrodu pod pozorem poszukania dzieci.

– Cóż za pochwały uczciwości! – wykrzyknął – Powiedziałyby kto, że najwyższa cnota; a równocześnie co za szacunek, co za uniżoność dla człowieka, który najoczywiściej podwoił i potroił majątek od czasu, jak zarządza mieniem ubogich! Założyłbym się, że zarabia nawet na funduszach podrzutek, biedaków, których nędza świętsza jest od innej! Och! Potwory! Potwory! I ja także jestem podrzutkiem, znieawidzonym przez ojca, braci,

rodzinę.

Na kilka dni przed św. Ludwikiem Julian, przechadzając się i odmawiając brewiarz w lasku nad Aleją Wierności, na próżno starał się uniknąć braci, których ujrzał z daleka na ścieżce. Piękne czarne ubranie, schludny wygląd młodszego brata, wzgarda wreszcie, jaką im okazywał, obudziły zawiść w tych gruboskórnych robotnikach; zbili Juliana tak, iż legł na drodze zemdlony i zlany krwią. Pani de Rênal, przechadzając się z panem Valenod i podprefektem, zaszła przypadkowo do lasku: ujrzała Juliana na ziemi, sądziła, że nie żyje. Wzruszenie jej obudziło zazdrość w panu Valenod.

Niepokój jego był przedwczesny. Julian podziwiał urodę pani de Rênal, ale nienawidził jej za jej piękność; była to pierwsza rafa, o którą omal nie rozbił się jego los. Jak najmniej odzywał się do niej, aby zatrzeć w jej pamięci wzruszenie, które pierwszego dnia kazało mu ją pocałować w rękę.

Eliza, pokojówka pani de Rênal, zakochała się w młodym preceptorze; na trącała o nim często pani. Miłość panny Elizy ściągnęła na Juliana nienawiść służącego. Jednego dnia Julian słyszał, jak mówił do Elizy:

– Nie chcesz ze mną gadać od czasu, jak ten śmierdzący bakałarz wszedł do domu.

Julian nie zasługiwał na tę obelgę; mimo to, czując się ładnym chłopcem, podwoił dbałość o swoją osobę. Niechęć pana Valenod wzrosła również: odzywał się publicznie, że taka kokieteria nie przystała młodemu klerykowi: oprócz sutanny

bowiem strój Juliana był niemal księży.

Pani de Rênal zauważyła, że Julian częściej niż zwykle rozmawia z panną Elizą: dowiedziała się, iż przyczyną tych rozmów były niedostatki garderoby chłopca. Miał tak mało bielizny, iż często zmuszony był dawać ją do prania poza domem, Eliza pomagała mu w tych kłopotach. Ubóstwo to, którego się nie domyślała, wzruszyło panią de Rênal; byłaby chętnie wyekwipowała chłopca, ale nie śmiała: ta wewnętrzna rozterka była pierwszym przykrym uczuciem związanym z osobą Juliana. Dotąd imię Juliana służyło jej dla niej z uczuciem czystej, na wskroś uduchowionej radości. Dręczona myślą o ubóstwie Juliana pani de Rênal poddała mężowi myśl, aby mu sprawić bieliznę.

– Cóż za niepraktyczność – odparł. – Jak to! Dawać podarki człowiekowi, z którego jesteśmy zupełnie zadowoleni i który dobrze spełnia obowiązki? A, gdyby się zaniedbywał, wówczas trzeba by podsycić jego zapal.

Takie poglądy urażały delikatność pani de Rênal; przed przybyciem Juliana nie zwróciłyby na to uwagi. Widząc nadzwyczajną – bardzo prostą zresztą – schludność młodego kleryka, myślała w duchu: biedny chłopiec, jak on sobie radzi?

Niebawem wszystkie braki Juliana miast²⁴ ją razić budziły w niej współczucie.

Pani de Rênal należała do gatunku tych mieszkanek prowincji, które w pierwszych tygodniach znajomości mogą uchodzić za

²⁴ *miast* – tu: zamiast. [przypis edytorski]

głupie. Nie znała zupełnie życia i nie siliła się rozprawić. Miała duszę delikatną i dumną, oraz zmysł szczęścia wrodzony wszystkim istotom; co sprawiało, że po największej części nie zwracała uwagi na postęпки gruboskórców, wśród których los ją pomieścił.

Przy jakim takim wykształceniu żywość i naturalność jej umysłu wyszłyby niechybnie na jaw; ale jako posażną pannę wychowano ją u zakonnic żywiących namiętny kult *Serca Jezusowego* i przejętych nienawiścią dla społeczeństwa wrogiego jezuitom. Pani de Rênal miała tyle zdrowego rozsądku, aby zapomnieć niebawem wszystkich absurdów, jakich się nauczyła w klasztorze; ale nie wstawiła nic na to miejsce i w końcu nie umiała nic. Przedwczesne pochlebstwa, którymi ją otaczano jako bogatą dziedziczkę oraz wybitna skłonność do dewocji stworzyły w niej nawyk do życia w sobie. Przy pozorach doskonałej uległości, wyrzeczenia się swej woli (które mężowie w Verrières stawiali za przykład żonom, ku wielkiej pysze pana de Rênal), zachowanie jej było w istocie wynikiem dumy. Niejedna księżniczka głośna ze swej pychy nieskończenie więcej zwraca uwagi na to, co robi jej dwór, niż ta kobieta tak łagodna, tak skromna na pozór zważała na wszystko, co robił lub mówił jej mąż. Do przybycia Juliana zajmowały ją naprawdę tylko dzieci. Ich choroby, ich drobne strapienia i radości zaprzętały całą wrażliwość tej duszy, która w życiu swoim uwielbiała jedynie Boga, wówczas gdy była w *Sacré-Coeur*.

Nie zwierzając się z tym nikomu, każdy napad gorączki

któregoś z synów odczuwała tak, jakby dziecko już umarło. Kiedy w pierwszych latach, wiedzioną potrzebą zwierzeń chciała się podzielić tym z mężem, odpowiedzią był zawsze rubaszny śmiech, wzruszenie ramion i jakaś trywialna uwaga o niedorzeczności kobiet. Tego rodzaju żarciki, zwłaszcza gdy chodziło o chorobę dzieci, przesywały sztyłem serce pani de Rênal. Oto co znalazła w miejsce obleśnych pochlebstw jezuickiego klasztoru, w którym spędziła młodość. Wychowaniem jej stało się cierpienie. Zbyt dumna, aby mówić o tego rodzaju zgryzotach nawet swojej przyjaciółce, pani Derville, wyobraziła sobie, że wszyscy mężczyźni są tacy jak jej mąż, jak Valenod i podprefekt Charcot de Maugiron. Gruboskórność oraz najbrutalniejsza nieczułość na wszystko, co nie jest kwestią pieniądza, awansu lub orderu; ślepa nienawiść do wszelkiej myśli będącej im nie na rękę, wydawały się jej przyrodzoną właściwością tej płci, podobnie jak filcowy kapelusz i buty.

Po wielu latach pani de Rênal nie przyzwyczała się jeszcze do tych groszorbów, wśród których przyszło jej żyć.

Stąd przyjaźń jej do młodego wieśniaka, do Juliana. W sympatii tej szlacheckiej i hardej duszy znajdowała słodczye pełne nowości. Wybaczała mu jego rażącą nieświadomość, która stanowiła jeden wdzięk więcej, oraz nieokrzesanie, z którego zdołała go poprawić. Słuchała go z uwagą nawet wówczas, gdy chodziło o najpospolitsze rzeczy, nawet o biednego psa przejechanego przez wóz chłopski. Obraz ten wywołał gruby śmiech męża, gdy piękne, czarne i sklepienie brwi

Juliana zmarszczyły się. Z wolna zdało się jej, że szlachetność, wzniosłość, ludzkość, są tylko w nim jednym. Czuła dłoń całą sympatię, a nawet podziw, jaki te cnoty budzą w duszach z czystego kruszcu.

W Paryżu stosunek Juliana i pani de Rênal uprościłby się niebawem; ale w Paryżu miłość jest córą romansów. Młody preceptor i jego nieśmiała chlebodawczyni znaleźliby wyjaśnienie swego położenia w pierwszej lepszej powieści, piosence nawet. Powieść wyznaczyłaby im rolę, wskazała wzór do naśladowania i wcześniej lub później, mimo że bez przyjemności, może z niechęcią, próżność skłoniłaby Juliana do pójścia za tym wzorem.

W okolicy Aveyron lub Pirenejów, w ognistym klimacie najmniejszy przypadek spowodowałby przełom. Pod naszym chłodniejszym niebem młody człowiek może widywać co dzień trzydziestoletnią kobietę szczerze cnotliwą, zajętą dziećmi i niecierpiącą zgoła wzoru w romansach. Na prowincji wszystko idzie wolno, wszystko spełnia się pomału, życie płynie naturalniej.

Często, myśląc o ubóstwie młodego preceptora, pani de Rênal rozczuła się do łez. Jednego dnia Julian zastał ją płaczącą na dobre.

– Co pani? Stało się jakie nieszczęście?

– Nie, panie Julianie – odparła. – Niech pan zawoła dzieci; chodźmy się przejść.

Ujęła jego ramię i oparła się o nie w sposób, który wydał się

Julianowi szczególny. Pierwszy raz nazwała go *panem Julianem*.

Pod koniec przechadzki Julian zauważył, że pani de Rênal rumieni się często. Zwolniła kroku.

– Słyszał pan zapewne – rzekła, nie patrząc nań – że jestem spadkobierczynią bardzo bogatej ciotki w Besançon. Obsypuje mnie podarkami... Chłopcy nasi robią postępy... tak zadziwiające, że chciałabym prosić, aby pan przyjął mały upominek, jako znak mej wdzięczności. Ot, po prostu kilka ludwików... aby pan mógł sobie sprawić bieliznę. Ale... – dodała, rumieniając się jeszcze bardziej i zamilkła.

– Co takiego, pani? – spytał Julian.

– Nie ma potrzeby – ciągnęła, spuszczając głowę – mówić o tym mężowi.

– Jestem ubogi, pani, ale nie jestem podły – odparł Julian, zatrzymując się z oczyma błyszczącymi od gniewu i prostując się. – Nad tym się pani nie zastanowiła. Byłbym czymś poniżej lokaja, gdybym był zmuszony ukrywać przed panem de Rênal cokolwiek, co tyczy *moich pieniędzy*.

Pani de Rênal zmartwiła.

– Pan mer – ciągnął Julian – wręczył mi pięć razy po trzydzieści sześć franków od czasu, jak jestem w tym domu; gotów jestem pokazać swoje rachunki panu de Rênal i każdemu, nawet panu Valenod, który mnie nienawidzi.

Po tym wybuchu pani de Rênal szła obok Juliana blada i drżąca; do końca przechadzki żadne nie znalazło pretekstu do nawiązania rozmowy. W dumnym sercu Juliana miłość do

pani de Rênal stawiała się coraz większym niepodobieństwem: ona zaś szanowała go, podziwiała: skrzyczał ją! Pod pozorem mimowolnej przykrości, jaką mu sprawiła, otoczyła go najserdeczniejszą tkliwością. Ta nowa faza stała się na cały tydzień źródłem szczęścia dla pani de Rênal. Julian udobruchał się; w głowie mu nie powstało, że na dzień tego mógł tkwić odcień żywszego uczucia.

„Oto bogacze – mówił sobie – upokarzają, a potem zdaje się im, że wszystko naprawią trochę mizdrzenia”.

Serce pani de Rênal było zbyt wezbrane, a jeszcze zbyt niewinne, aby mimo postanowień mogła zataić przed mężem propozycję, jaką uczyniła Julianowi i sposób, w jaki ją odrzucił.

– Jak to! – rzekł de Rênal oburzony. – I ty mogłaś ścierpieć odmowę ze strony służącego?

Gdy zaś pani de Rênal okrzyknęła się na to, dodał:

– Mówię, moja droga, jak nieboszczyk książe de Condé, przedstawiając młodej małżonce szambelanów: „*wszyscy ci ludzie, rzekł, to nasi służący*”. Czytałem ci z pamiętników Besenvala ten ustęp, bardzo godny uwagi w przedmiocie etykiety. Każdy nieszlachcic, który jest w twoim domu i otrzymuje zapłatę, jest twoim służącym. Powiem parę słów temu panu Julianowi i dam mu sto franków.

– Och! Mężu – rzekła pani de Rênal drżąca – ale chociaż nie przy służbie.

– Tak, mogliby być zazdrośni i słusznie – rzekł mąż, oddalając się i wążąc w myślach wysokość sumy.

Pani de Rênal padła na krzesło w pół omdlała z bólu. Ten człowiek upokorzy Juliana i to z jej winy! Uczuła wstręt do męża, zasłoniła sobie twarz. Przyrzekła sobie nie zwierzać się nigdy z niczym.

Ujrzawszy Juliana, drżała jeszcze; w piersiach czuła taki ucisk, że nie mogła wyrzec słowa. W zakłopotaniu ujęła go za rękę i ścisnęła je.

– I cóż, panie Julianie – rzekła wreszcie – czy pan rad z mego męża?

– Jakżebym nie był rad? – odparł z gorzkim uśmiechem – dał mi sto franków.

Popatrzyła nań niepewnie.

– Niech mi pan poda ramię – rzekła wreszcie z akcentem determinacji, jakiej Julian nigdy u niej nie widział.

Odważyła się iść do miejscowej księgarni, mimo że księgarz zażywał reputacji okropnego liberała. Wybrała za dziesięć ludwików książek i dała je chłopcom; ale były to książki, o których wiedziała, że Julian ich pragnie. Kazała zaraz w sklepie każdemu z synów podpisać książki, które mu przypadły. Podczas gdy pani de Rênal połała się zadośćuczynieniem, na które się zdobyła wobec Juliana, ten zdumiewał się ogromną ilością książek w księgarni. Nigdy nie ośmielił się wejść do tak wyklętego miejsca; serce mu biło. Nie domyślając się tego, co się działo w sercu pani de Rênal, dumął głęboko nad sposobem, w jaki on, biedny student, mógłby zdobyć niektóre z tych książek. Wreszcie wpadł na pomysł, iż przy pewnej zręczności, można

by podsunąć panu de Rênal jako temat wypracowań dla synów życiorysy wybitnych ludzi z okolicznej szlachty. Po miesiącu Julian dopiął celu; w jakiś czas później ośmielił się podać panu merowi krok jeszcze cięższy dla tego *dobrze myślącego* człowieka: chodziło mianowicie o zbogacenie²⁵ liberała przez wzięcie abonamentu w księgarni. Pan de Rênal uznawał, że byłoby racjonalne dać starszemu synowi bliższe pojęcie o wielu dziełach, o których będzie słyszał, gdy się znajdzie w szkole wojskowej; mimo to nie chciał się posunąć dalej. Julian czuł jakąś tajemną przyczynę, ale nie mógł jej odgadnąć.

– Zastanowiłem się, proszę pana – rzekł raz – że byłoby bardzo niewłaściwe, aby dobre szlacheckie nazwisko jak pańskie miało figurować w plugawych rejestrach księgarni. – (Czoło pana de Rênal rozjaśniło się). – Byłoby również złym świadectwem – ciągnął Julian pokorniej – dla biednego studenta teologii, gdyby ktoś odkrył jego nazwisko na liście wypożyczalni. Liberałowie mogliby mnie obwinić o czytanie najbezpieczniejszych książek, kto wie nawet, może wypisałiby tytuł tych ohydnych dzieł obok mego nazwiska.

Ale Julian wszedł na fałszywy trop. Fizjonomia mera przybrała wyraz zakłopotania i niechęci.

„Mam go” – rzekł sobie.

W kilka dni potem, skoro najstarszy chłopiec zagadnął w obecności pana de Rênal o książkę oznajmioną w „*Quotidienne*”, młody preceptor rzekł:

²⁵ *zbogacenie* – dziś: *wzbogacenie*. [przypis edytorski]

– Aby uchylić wszelki pozór triumfu jakobinów, a mimo to dać możność objaśnienia pana Adolfa, można by wziąć abonament na imię kogoś ze służby.

– Niezła myśl! – rzekł pan de Rênal, widocznie uradowany.

– Ale trzeba by zastrzec – rzekł Julian owym poważnym i stroskanym niemal tonem, który umieją przybrać niektórzy ludzie, kiedy widzą, iż sprawy przybierają z dawna upragniony obrót – trzeba zastrzec, że służący nie będzie miał prawa brać romansów. Wcisnąwszy się do domu, te niebezpieczne książki mogłyby zepsuć garderobianą pani, a nawet lokajów.

– Zapomina pan o pamfletach politycznych – dodał pan de Rênal wyniośle. Chciał ukryć podziw, jaki w nim obudził mądry półśrodek preceptora.

Życie Juliana składało się tedy z drobnych spraw, a powodzenie ich zaprzętało go o wiele więcej niż wyraźna sympatia, którą byłby mógł z łatwością wyczytać w sercu pani de Rênal.

W domu mera znów Julian wszedł w rolę, w jakiej tkwił przez całe życie. I tu, jak w ojcowskim tartaku, głęboko pogardzał ludźmi, z którymi się stykał, oni zaś płacili mu nienawiścią. Słuchając rozmów podprefekta, pana Valenod i innych o rzeczach, na które patrzył razem z nimi, czuł, jak ich pojęcia odległe są od rzeczywistości. Niechby mu się jakiś postępek wydał wspaniały, u nich z pewnością spotkał się z naganą. Raz po raz wykrzykiwał w duchu: „Cóż za potwory!” albo „co za głupcy!”. Zabawne jest, że przy całej tej wyniosłości,

często nie rozumiał tego, co mówiono.

W życiu swoim rozmawiał szczerze jedynie ze starym chirurgiem; to trochę, co wiedział, odnosiło się do włoskich kampanii Bonapartego albo do chirurgii. Jego młodzieńcza odwaga lubowała się w szczegółowym opowiadaniu o najboleśniejzych operacjach.

„Ja bym ani drgnął!” – powiadał sobie.

Pierwszy raz, kiedy pani de Rênal próbowała nawiązać z nim rozmowę poza tematem wychowania, zaczął mówić o operacjach: zbladła i prosiła, aby przestał.

Poza tym nie wiedział nic. Toteż ilekroć znalazł się sam z panem de Rênal, zapadało osobliwe milczenie. W salonie mimo jego skromności pani de Rênal widziała w oczach Juliana błysk wyższości intelektualnej wobec innych gości. Skoro zostali sami, czuła, że jest zakłopotany. Niepokoiło ją to; instynktem kobiecym odgadywała, że to zakłopotanie nie ma bynajmniej podkładu tkliwości.

Wedle pojęć przejętych od starego chirurga o wykwinnym towarzystwie – takim, jak się przedstawiało staremu wiarusowi – Julian czuł się upokorzony, ilekroć zapanowało milczenie w obecności damy, tak jakby ono wyłącznie było jego winą. Wrażenie to było jeszcze sto razy dotkliwsze sam na sam. Wyobraźnia jego, napełniona przesadnie romantycznymi pojęciami o tym, co powinien rzec mężczyzna, kiedy się znajdzie sam z kobietą, podsuwała mu niemożliwe pomysły. Dusza jego bujała w obłokach, mimo to nie umiał się

wyrwać z upokarzającego milczenia. Okrutne męki, jakie przechodził w czasie długich przechadzek z panią de Rênal i z dziećmi, pogłębiały surowość wyrazu jego twarzy. Gardził sobą straszliwie; jeżeli zaś nieszczęściem zmusił się do mówienia, plótł brednie. Na domiar nieszczęścia widział i przesadzał jeszcze swą nedorzecznosc; ale czego nie widział, to wyrazu swoich oczu: były tak piękne i zwiastowały tak płomienną duszę, iż, podobne dobrym aktorom, dawały niekiedy urocze znaczenie czemuś, co go wcale nie miało. Pani de Rênal zauważyła, że będąc z nią sam, jedynie wtedy zdołał powiedzieć coś do rzeczy, kiedy zaskoczony czymś nieprzewidzianym, nie silił się na wyskoki dworności. Ponieważ przyjaciele domu nie przekarmiali jej nowymi i świetnymi myślami, syciła się z rozkoszą błyskami umysłu Juliana.

Od upadku Napoleona wszelki cień płochości wygnany jest z życia prowincji. Każdy lęka się stracić posiadłość. Hultaje szukają oparcia w kongregacji; obłuda rozwinęła się nawet wśród liberałów. Nuda wzrasta. Jedyne przyjemności, jakie zostały, to czytanie i gospodarstwo.

Pani de Rênal, bogata dziedziczka nabożnej ciotki, wyszedłszy w szesnastym roku za przyzwoitego szlachcica, w całym życiu nie doświadczyła ani nie widziała nic, co by było choć trochę podobne do miłości. Jedyne zacny ksiądz Chélan mówił jej o miłości z okazji zalotów pana Valenod i nakreślił tak ohydny obraz, iż słowo to wcielało dla pani de Rênal najwstrętniejszą rozpustę. Miłość taką, jaką znalazła

w paru powieściach, które przypadkiem wpadły jej w ręce, uważała za wyjątek lub za fakt zgoła nienaturalny. Dzięki tej nieświadomości pani de Rênal, zupełnie szczęśliwa, zajęta Julianem bez przerwy nie czuła najłżejszych wyrzutów.

VIII. Drobne wypadki

*Then there were sighs, the deeper for suppression,
And stolen glances, sweeter for the theft,
And buning blushes, though for no transgression.*

Don Juan, I, 74.

Anielską słodycz pani de Rênal płynącą z charakteru i z jej obecnego szczęścia mąciła jedynie myśl o pokojówce Elizie. Dziewczyna ta odziedziczyła mały spadek, poszła się wyspowiadać do księdza Chélan i zwierzyła mu się z zamiarami na Juliana. Proboszcz ucieszył się szczerze szczęściem młodego przyjaciela; toteż zdumiał się bardzo, kiedy Julian oznajmił stanowczo, że propozycja panny Elizy zgoła mu nie odpowiada.

– Rozpatrz się, dziecko, w sercu – rzekł proboszcz, marszcząc brwi. – Winszuję ci twego powołania, jeśli to tylko ono skłania cię do wzgardzenia losem aż nadto wystarczającym. Z górą pięćdziesiąt lat jestem proboszczem w Verrières; i tak wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, usuną mnie. Martwi mnie to, a wszakże mam osiemset funtów renty! Mówię ci to, iżbyś sobie nie robił złudzeń co do widoków w zawodzie kapłańskim. Jeśli zechcesz zabiegać o łaskę tych, którzy dzierżą władzę, zguba twoja wieczna jest pewna. Możesz zrobić los, ale trzeba by krzywdzić nędzarzy, schlebiać podprefektowi, merowi, ludziom

wpływowym, iść na rękę ich namiętnościom. Postępowanie to, zwane powszechnie *umiejętnością życia*, może dla człowieka świeckiego nie być absolutnie sprzeczne z drogą zbawienia; ale w naszym stanie trzeba wybierać; chodzi o triumf na tym świecie albo na tamym: nie ma środka. Idź, drogie dziecko, zastanów się i wróć za trzy dni dać mi odpowiedź. Ze smutkiem widzę w tobie jakąś posępną żarliwość niezwiastującą umiarkowania ani doskonałego wyrzeczenia się ziemskich korzyści, które jest potrzebne u księdza. Mam wysokie pojęcie o twoich zdolnościach, ale pozwól sobie powiedzieć – dodał zacny proboszcz ze łzami – że w stanie kapłańskim drzę o twoje zbawienie.

Julian wstydził się swego wzruszenia; pierwszy raz w życiu czuł, że go ktoś kocha; płakał z rozkoszą i poszedł ukryć łzy w lasach nad Verrières.

„Czego ja się tak wzruszam – rzekł wreszcie – czuję, że dałbym życie za tego poczciwinę Chélan, który mi dowiódł, że jestem tylko głupcem. Jego przede wszystkim powinien bym oszukać, a on mnie przejrzał. Ów tajemny żar, o którym mówi, to moje postanowienie wybicia się. Uważa mnie za niegodnego kapłaństwa, gdy ja sobie wyobrażałem, że wyrzeczenie się tysiąca franków renty da mu najwyższe wyobrażenie o mej pobożności i moim powołaniu.

Na przyszłość – ciągnął Julian – będę polegał na sobie tylko o tyle, o ile się wypróbuje. Kto by powiedział, że znajdę przyjemność w wylewaniu łez? Że będę kochał tego, kto mi

udowodni, że jestem dudkiem!”

W trzy dni potem Julian znalazł pozór, do którego powinien się był uciec od razu; pozór ten był potwarzą, ale cóż to znaczy? Po wielu omawianiach wyznał księdzu, że przyczyna, której nie może odstąpić, ponieważ zaszkodziłaby osobie trzeciej, oddała go od tego małżeństwa. Znaczyło to rzucić cień na Elizę. Ksiądz Chélan ujrzał w tym postępowaniu pobudki zgoła świeckie, bardzo różne od tych, które powinny by ożywiać młodego lewitę.

– Mój chłopcze – rzekł jeszcze raz – bądź raczej zacnym, uczciwym i światłym rolnikiem, niżbyś miał być księdzem bez powołania.

Julian odpowiedział na to bardzo wymownie, gdy chodzi o słowa: znalazł wyrazy, jakich by użył młody i gorliwy seminarzysta; ale jego ton, zaledwie powściągany ogień tryskający z jego oczu zaniepokoiły księdza Chélan.

Nie trzeba nadto źle wróżyć o przyszłości Juliana: posługiwał się wzorowo językiem przemyślniej obłudy. Jak na jego wiek było to niezłe. Co się tyczy tonu i gestów, trzeba mieć na uwadze, że wyrósł on wśród chłopów, nie mając przed oczami pierwszorzędných wzorów. W dalszym życiu, skoro tylko mu było dane zbliżyć się do elity, cudownie opanował tak gesty, jak słowa.

Pani de Rênal dziwiła się, że Eliza tak mało jest ucieszona spadkiem; dziewczyna wciąż wymykała się do proboszcza i wracała ze łzami w oczach: wreszcie zwierzyła się pani ze swych małżeńskich planów.

Pani de Rênal miała uczucie, że jest chora; trawiła ją jakby gorączka, bezsenność, żyła jedynie wówczas, gdy widziała w pobliżu pokojówkę albo Juliana. Nie była zdolna myśleć o niczym innym jak tylko o nich, o ich przyszłym szczęściu. To skromne gospodarstwo, na którym na wszystko miało starczyć pięćdziesiąt ludwików renty, przedstawiało się jej w czarujących barwach. Julian mógłby wszak zostać adwokatem w Bray, powiatowym mieście o dwie mile od Verrières: wówczas widywałaby go niekiedy.

Pani de Rênal szczerze myślała, że zwariuje; powiedziała to mężowi i w końcu rozchorowała się. Tegoż samego dnia, gdy Eliza kręciła się po pokoju, zauważyła, że dziewczyna popłakuje. W tej epoce nie znosiła Elizy i właśnie połajała ją za coś; przeprosiła ją. Eliza rozplakała się na dobre: prosiła pani, aby jej pozwoliła zwierzyć się ze swym nieszczęściem.

– Mów – rzekła pani de Rênal.

– Otóż, proszę pani, nie chce mnie, niegodziwcy nagadali mu coś o mnie i on wierzy.

– Kto cię nie chce? – spytała pani de Rênal, ledwie mogąc oddychać.

– A któż by, proszę pani? Pan Julian – odparła dziewczyna, szlochając. – Ksiądz proboszcz nie mógł go przekonać; ksiądz proboszcz uważa, że nie powinien odtrącać uczciwej dziewczyny dlatego tylko, że była pokojówką. Toć ostatecznie ojciec pana Juliana jest drwalem, a on sam jak zarabiał na życie, nim się dostał do jaśnie państwa?

Pani de Rênal nie słuchała już; nadmiar szczęścia niemal pozbawił ją rozumu. Kazała sobie kilka razy powtórzyć, że Julian odmówił w sposób stanowczy, wykluczający nadzieję, aby się dał zwrócić na rozsądniejszą drogę.

– Spróbuję ostatniego sposobu – rzekła – pomówię z nim.

Nazajutrz po śniadaniu, pani de Rênal sprawiła sobie tę nieopisaną rozkosz, aby przemawiać za swą rywalką i patrzeć, jak przez godzinę Julian niewzruszenie odtrąca rękę i majątek Elizy.

Stopniowo Julian przestał ważyć słowa i z żywością odpowiadał na przedłożenia pani de Rênal. Nie mogła się oprzeć strumieniowi szczęścia, który zalewał jej duszę po tylu dniach rozpacz. Zrobiło się jej słabo. Kiedy przyszła do siebie i spoczęła wygodnie w swoim pokoju, oddaliła wszystkich. Była zdumiona.

– Czyżbym kochała Juliana? – rzekła w duchu.

Odkrycie to, które w innej chwili stałoby się źródłem wyrzutów i głębokiego wstrząsu, było dla niej czymś dziwnym, ale obojętnym. Dusza jej, wyczerpana ostatnimi przejściami, jak gdyby stępiła, straciła wrażliwość.

Pani de Rênal chciała się czymś zająć, ale zapadła w głęboki sen; kiedy się obudziła, czuła się mniej strwożona, niżby należało. Była nadto szczęśliwa, aby się czymś troskać. Ta poczciwa parafianka, naiwna i niewinna, nie umiała się dreńczyć po to, aby z siebie wycisnąć jakiś nowy odcień uczucia lub cierpienia. Zupełnie pochłonięta przed przybyciem Juliana

ogromem zatrudnień, który na prowincji zaprzęta gospodynię i matkę rodziny, pani de Rênal myślała o namiętnościach jak my o loterii: pewne oszukaństwo, szczęście, za którym upędzają się szaleńcy.

Rozległ się dzwon na obiad. Pani de Rênal zaczerwieniła się, usłyszawszy głos Juliana rozmawiającego z dziećmi. Od czasu, jak kochała, stała się zręczniejsza; aby usprawiedliwić rumieniec, użaliła się na straszny ból głowy.

– Oto kobiety! – wykrzyknął pan de Rênal z rubasznym śmiechem. – Zawsze coś tam jest do naprawy w tej maszynerii.

Mimo że przywykła do tego rodzaju dowcipów, ton męża uraził panią de Rênal. Dla zatarcia wrażenia spojrzała na Juliana; gdyby był najszpetniejszy w świecie, w tej chwili podobałby się jej.

Pilnie naśladowując obyczaje Dworu, z początkiem wiosny pan de Rênal przeniósł się do Vergy: była to owa wioska wstawiona tragiczną przygodą Gabrieli. O kilkaset kroków od malowniczych ruin gotyckiego kościoła pan de Rênal posiadał stary zamek z czterema wieżami i ogród na wzór tuilleryjskiego z alejami kasztanowymi strzyżonymi dwa razy do roku. Sąsiednie pole zasadzone jabłoniemi służyło za miejsce przechadzki. Na końcu sadu rosło z dziesięć wspaniałych orzechów; pyszne ich gałęzie wznosiły się może na osiemdziesiąt stóp.

– Każdy z tych przeklętych orzechów – mawiał pan de Rênal, kiedy żona zachwycała się nimi – kosztuje mnie pół morgi zbiorów: zboże nie rodzi się w ich cieniu.

Widok wsi uderzył panią de Rênal jak gdyby był dla niej czymś nowym; nie posiadała się z uniesienia. Uczucie, jakie ją ożywiało, tchnęło w nią inteligencję i energię. Kiedy w dwa dni po przybyciu do Vergy sprawy urzędowe powołały pana de Rênal do miasta, sama najęła na swój koszt robotników. Julian poddał myśl wykopania ścieżki, która, wysypana piaskiem, wiłaby się po sadzie i wśród kasztanów tak, aby dzieci mogły uganiać od rana, nie rosząc bucików. Myśl tę wprowadzono w czyn w niespełna dwadzieścia cztery godziny. Pani de Rênal spędziła wesoło z Julianem cały dzień, doglądając roboty.

Wróciwszy z miasta, pan mer zdziwił się mocno, widząc aleję. Również panią de Rênal zdziwiło przybycie męża: zapomniała o jego istnieniu. Dwa miesiące odzywał się cierpko o śmiałości, z jaką bez naradzenia się z nim podjęto *wkład* tak doniosły: pocieszało go trochę to, że pani de Rênal dokonała go swoim kosztem.

Całe dni spędzała z dziećmi w sadzie, uganiając za motylami. Sporządzono siatki z białej gazy, w które chwymano te biedne *lepidoptery*. To barbarzyńskie miano usłyszała pani de Rênal z ust Juliana; sprowadziła z Besançon piękne dzieło Godarda i Julian opowiadał jej o szczególnych obyczajach tych zwierzątek.

Przyszpilano je bez litości w tekturowym pudle, też sporządzonym przez Juliana.

Wreszcie był między panią de Rênal a Julianem temat do rozmowy; nie przechodził już straszliwych mąk, o jakie przyprawiały go chwile milczenia.

Rozmawiali bez ustanku z zainteresowaniem, mimo że o rzeczach bardzo niewinnych. To czynne, zatrudnione i wesołe życie przypadło do smaku wszystkim z wyjątkiem Elizy, która utyskiwała na nadmiar roboty. Nigdy, nawet w karnawale, mówiła, w epoce balów w Verrières pani nie dbała tak o strój, zmieniała suknie po dwa i trzy razy dziennie.

Ponieważ nie mamy zamiaru schlebiać nikomu, nie będziemy taić, że pani de Rênal, która miała pyszne ciało, kazała sobie suknie skroić w ten sposób, iż gors i ramiona były mocno odsłonięte: z czym było jej nadzwyczaj ładnie.

„Nigdy pani *nie była tak młoda*” – powiadali przyjaciele domu, gdy zjawili się na obiad w Vergy. (Próbka miejscowego stylu).

Rzecz osobliwa i trudna wręcz do wiary, to iż pani de Rênal rozwijała te starania bez wyraźnej intencji. Znajdowała w tym przyjemność; nie zastanawiając się bliżej, o ile nie uganiała za motylami z dziećmi i z Julianem, trawiła czas z Elizą na sporządzaniu toalet. Jedyłą wyprawę do Verrières spowodowały nowe suknie letnie, które nadeszły z Milhuzy.

Przywiozła do Vergy młodą kobietę, swoją kuzynkę. Od zamążpójścia pani de Rênal żyła w przyjaźni z panią Derville, koleżanką z *Sacré-Coeur*.

Pani Derville serdecznie się bawiła tym, co nazywała *szaleństwami* kuzynki. „Mnie by to nigdy do głowy nie przyszło” – mówiła. Sama z mężem pani de Rênal wstydziła się tych wyskoków; obecność pani Derville dodawała jej odwagi.

Zwierzała się jej zrazu nieśmiało; stopniowo ożywiała się i długi poranek mijał jak chwilka wśród wesołości obu przyjaciółek. Tym razem rozsądna pani Derville znalazła kuzynkę o wiele mniej wesołą, a o wiele szczęśliwszą.

Julian od czasu pobytu na wsi żył jak dziecko; uganiał za motylami równie szczęśliwy jak jego uczniowie. Po takim nakładzie przymusu i obłudy, sam, z dala od ludzkich oczu, instynktownie czując się swobodny wobec pani de Rênal, wśród najpiękniejszych gór w świecie oddawał się tak naturalnej w tym wieku rozkoszy istnienia.

Skoro przybyła pani Derville, Julian miał uczucie, że to jest jego przyjaciółka; skwapliwie pokazywał jej widok ze szczytu nowej alei; widok, jeżeli nie ładniejszy, to równy wszystkiemu, co Szwajcaria i włoskie jeziora mają najpiękniejszego. Wdrapawszy się na zbocze zaczynające się o parę kroków wyżej, dochodzi się niebawem do urwisk porośniętych dębina, ciągnących się prawie do rzeki. Na te okrzesane wierzchołki, Julian szczęśliwy, wolny, a nawet coś więcej – król domu, zaprowadził obie przyjaciółki i cieszył się ich zachwytem.

– To dla mnie niby muzyka Mozarta – powiadała pani Derville.

Zawiść braci, bliskość ojca despoty i gbura zbrzydziły Julianowi okolice Verrières. W Vergy nie czyhały nań te gorzkie wspomnienia; pierwszy raz w życiu nie czuł w pobliżu wroga. Kiedy pan de Rênal był w mieście, co mu się często zdarzało, Julian ośmielał się czytać. Zamiast czytać w nocy i to kryjąc

lampę pod doniczką, mógł się wysypiać: za to w dzień, po lekcji chronił się w te skały z książką, jedyną busolą swego postępowania i przedmiotem zachwytu. Znajdował w niej zawsze szczęście, upojenie i pociechę w chwilach zniechęcenia.

Niektóre zdania Napoleona o kobietach, uwagi o romansach modnych za jego czasu, obudziły w Julianie myśli, które każdy z jego rówieśników miałby zapewne od dawna.

Przyszły upały. Wieczory spędzano pod lipą o kilka kroków od domu. Panowała tam głęboka ciemność. Jednego wieczora Julian rozprawiał żywo; upajał się przyjemnością własnej wymowy, i to wobec młodych kobiet. Gestykulując, dotknął ręki pani de Rênal wspartej o poręcz ogrodowego krzesła.

Ręka cofnęła się szybko; Julian zaś pomyślał, że *obowiązkiem* jego jest uzyskać, aby pani de Rênal nie cofała tej ręki, gdy jej dotknie. Myśl o tym nałożonym sobie obowiązku, o śmieszności lub raczej o poniżeniu, jeśli tego nie dokona, zniweczyła natychmiast w jego sercu wszelką rozkosz.

IX. Wieczór na wsi

Dydoma pana Guérin, cóż za uroczy szkic!
Strombeck

Nazajutrz Julian spoglądał na panią de Rênal dziwnym wzrokiem; obserwował ją jak nieprzyjaciela przed bitwą. Spojrzenia te, tak różne od wczorajszych, zmieszały panią de Rênal: była dlań dobra, a on zdawał się zagniewany! Nie mogła oderwać ócz od jego oczu.

Obecność pani Derville pozwałała Julianowi mniej mówić, a więcej oddawać się myślom. Przez cały dzień silił się umocnić czytaniem natchnionej książki, w której hartował duszę.

Skrócił znacznie lekcje; następnie pod wpływem obecności pani de Rênal podniecającej jego ambicję postanowił, że tego wieczora ręka jej bezwarunkowo musi pozostać w jego ręce.

Skoro z zachodem słońca zbliżył się stanowczy moment, serce Juliana zaczęło bić gwałtownie. Zapadła noc; zauważył, że będzie bardzo ciemna: olbrzymi ciężar spadł mu z piersi. Niebo pokryte chmurami, które przeganiał bardzo ciepły wiatr, zwiastowało burzę. Przyjaciółki przechadzały się do późna. Zachowanie ich zdawało się Julianowi bardzo dziwne: rozkoszowały się tą aurą, która dla delikatnych dusz pomnaża niejako rozkosz kochania.

Usiadły wreszcie; pani de Rênal obok Juliana, pani Derville

koło przyjaciółki. Julian pochłonięty swym zamiarem milczał, rozmowa nie kleiła się.

„Czy będę równie drżący i nieszczęśliwy przy pierwszym pojedynku?” – myślał; zbyt podejrzliwy był wobec siebie i drugich, aby nie widzieć stanu swojej duszy.

Odczuwał tak nieznośny lęk, że wołałby raczej wszelkie inne niebezpieczeństwo. Ileż razy pragnął, aby panią de Rênal odwołała jakaś sprawa! Gwałt, jaki sobie zadawał, odbił się w zmienionym głosie Juliana. Niebawem głos pani de Rênal zaczął drżeć również, ale Julian nie zauważył tego: straszliwa walka *obowiązku* z nieśmiałością pochłaniała go całkowicie. Trzy kwadranse na dziesiątą wybiły na zamkowym zegarze, a on jeszcze nic nie zdziałał. Oburzony własnym tchórzostwem, rzekł sobie:

„Z uderzeniem dziesiątej spełnię, com postanowił, albo też pójdę do siebie i strzelę sobie w łeb”.

Jeszcze moment oczekiwania i lęku, w ciągu którego Julian był prawie nieprzytomny ze wzruszenia, i dziesiąta wybiła na zegarze nad jego głową. Każde uderzenie nieszczęsnego młota rozlegało mu się w piersi: czuł je niemal fizycznie.

Wreszcie, gdy ostatni dźwięk drżał jeszcze w powietrzu, wyciągnął rękę i ujął dłoń pani de Rênal, która cofnęła się szybko. Julian, nie bardzo wiedząc, co czyni, chwycił ją na nowo. Mimo że sam był bardzo wzruszony, uderzył go lodowaty chłód ręki, którą ścisnął konwulsyjnie. Ręka uczyniła jeszcze ostatni wysiłek, aby się wydrzeć, ale w końcu została w jego dłoni.

Fala szczęścia zalała duszę Juliana; nie iżby kochał panią de Rênal, ale okropna męczarnia ustała. Sądził, że trzeba coś mówić dla odwrócenia uwagi pani Derville: głos jego brzmiał donośnie i silnie. Głos pani de Rênal przeciwnie zdradzał takie wzruszenie, że przyjaciółka zlekła się, iż jest niezdrowa i zaproponowała powrót. Julian uczuł niebezpieczeństwo:

„Jeśli pani de Rênal wróci do salonu, popadnę znów w katusze, w jakich spędziłem cały dzień. Zbyt krótko trzymałem tę rękę, abym mógł to uważać za zdobyty przywilej”.

W chwili, gdy pani Derville ponawiała propozycję, Julian ścisnął silnie rękę zwisającą w jego dłoni. Pani de Rênal, która już wstawiała, siadła z powrotem, mówiąc omdlewającym głosem:

– Czuję się w istocie nieco cierpiąca, ale świeże powietrze orzeźwi mnie.

Słowa te potwierdziły szczęście Juliana, które w tej chwili odczuwał w całej pełni. Zaczął mówić, zapomniał o udawaniu, oczarował obie przyjaciółki. Ale było jeszcze nieco tchórzostwa w tym potoku wymowy. Obawiał się śmiertelnie, aby pani Derville, spłoszona wiatrem, który się zerwał przed burzą, nie zechciała sama wrócić. Zostałby wówczas sam na sam z panią de Rênal. Zdobył się prawie przypadkiem na ślepą odwagę; ale czuł, że nie byłby zdolny wyrzec słowa do pani de Rênal. Wymówka z jej strony, choćby najłżejsza, znalazłaby go bezbronnym; owoc zwycięstwa byłby stracony.

Szczęściem, tego wieczora jego gorąca wymowa znalazła

łaskę w oczach pani Derville, której zazwyczaj wydawał się dziecinnie niezręczny i nudny. Pani de Rênal z dłonią w dłoni Juliana nie myślała o niczym: żyła! Godziny spędzone pod lipą zasadzoną, wedle podania, przez Karola Śmiałego, były dla niej epoką szczęścia. Słuchała z rozkoszą szumu wiatru w gęstwinie oraz szelestu kropel spadających na liście. Julian nie zauważył okoliczności, która byłaby mu znacznie dodała ducha; pani de Rênal, która cofnęła rękę, aby pomóc kuzynce podnieść obaloną wiatrem doniczkę, siadłszy z powrotem, oddała mu na nowo dłoń prawie bez trudności, jak gdyby to już była rzecz umówiona.

Północ wybiła od dawna; trzeba było wreszcie opuścić ogród. Pani de Rênal, upojona rozkoszą kochania, w naiwności swojej nie czyniła sobie prawie wyrzutów. Szczęście odjęło jej sen. Julian natomiast, śmiertelnie znużony przebytą walką, spał jak zabity.

Nazajutrz zbudzono go o piątej: i – rzecz, która zaboląłaby okrutnie panią de Rênal, gdyby to wiedziała – zaledwie pomyślał o niej. Spełnił *swój obowiązek; i to obowiązek heroiczny*. Przejęty szczęściem tego uczucia, zamknął się na klucz i utonął z nową przyjemnością w lekturze swego bohatera.

Skoro rozległ się dzwonek na śniadanie, Julian, zatopiony w biuletynach Wielkiej Armii, zapomniał wszystkich triumfów dnia poprzedniego. Schodząc do salonu, szepnął sobie:

„Trzeba powiedzieć tej kobiecie, że ją kocham”.

Miał przepojonych rozkoszą wspomnień, których się spodziewał, ujrzał surową fizjonomię pana de Rênal, który,

przybywszy od dwóch godzin z Verrières, nie ukrywał swego niezadowolenia, iż Julian cały ranek nie zatroszczył się o dzieci. Nic szpetniejszego jak ten człowiek przejęty swą ważnością, czujący się w prawie dać uczuć swój niehumor.

Każde cierpkie słowo przeszywało serce pani de Rênal. Julian był tak oszołomiony, tak jeszcze pełen wielkich czynów, które przez kilka godzin przesuwwały się przed jego oczami, iż w pierwszej chwili ledwie raczył zauważyć wymówki pana de Rênal. W końcu odparł dość ostro:

– Byłem niezdrów.

Ton odpowiedzi byłby uraził człowieka nawet o wiele mniej drażliwego niż pan de Rênal. W pierwszej chwili chciał go wypędzić bez zwłoki; powściągnęła go tylko zasada, iż nie należy się nigdy śpieszyć w interesach.

„Ten smarkacz – pomyślał sobie – zyskał dzięki memu domowi pewną reputację: pójdzie do Valenoda albo ożeni się z Elizą i tak czy tak będzie sobie drwił ze mnie”.

Mimo tej przezornej refleksji, pan de Rênal dał upust niezadowoleniu w szorstkich słowach, które w końcu rozdrażniły Juliana. Pani de Rênal omal się nie rozplakała. Zaraz po śniadaniu poprosiła Juliana, aby jej podał ramię i przeszedł się z nią trochę; wspierała się na nim przyjacielsko. Na wszystko, co mówiła, Julian zdołał tylko szepnąć:

– *Oto bogacze!*

Pan de Rênal szedł tuż za nimi; obecność jego wzmagająca gniew Juliana. Uczuł nagle, iż pani de Rênal wspiera się

znacząco na jego ramieniu; zdjęty nagłym wstrętem, odepchnął ją gwałtownie i wyrwał ramię.

Szcęściem pan de Rênal nie widział tego nowego zuchwalstwa; zauważyła je tylko pani Derville; przyjaciółka jej załapała się łzami. W tej chwili pan de Rênal zaczął pędzić precz kamieniami małą wieśniaczkę, która szła niedozwoloną drogą, skracając przez sad.

– Panie Julianie, przez litość – szepnęła pani Derville – niech się pan uspokoi, pomyśl pan, wszyscy miewamy swoje humory.

Julian zmierzył ją zimno oczami, w których malowała się najwyższa wzgarda.

Spojrzenie to zdumiało panią Derville, a byłoby ją zdziwiło o wiele bardziej, gdyby odgadła jego istotną treść; wyczytałaby w nim mętną nadzieję najokrutniejszej zemsty. Bez wątpienia takie upokorzenia tworzyły Robespierrow.

– Twój Julian jest bardzo gwałtowny, przeraża mnie – szepnęła do przyjaciółki.

– Ma prawo do urazy – odparła. – Przy tak zadziwiających postępach, jakie chłopcy robią, cóż znaczy, że przez jeden ranek nie zajmował się nimi. Trzeba przyznać, że mężczyźni są bardzo bezwzględni.

Pierwszy raz w życiu pani de Rênal uczuła jakby chęć zemsty na mężu. Bezgraniczna nienawiść do bogaczy, jaka kipiała w Julianie, miała wybuchnąć. Szcęściem pan de Rênal przywołał ogrodnika i zaczął z nim grodzić cierniem niedozwoloną ścieżkę. Julian nie odpowiadał ani słowa na uprzejmość pań. Ledwie pan

de Rênal się oddalił, przyjaciółki utrzymując, że są zmęczone, poprosiły go obie o ramię.

Między tymi dwiema kobietami, spłonionymi z zakłopotania, twarz Juliana, pokryta wyniosłą bladością, posępna i stanowcza tworzyła osobliwy kontrast. Czuł wzdrganie dla tych kobiet i dla wszystkich tkliwych uczuć.

„Ha! – myślał – ani pięciuset franków renty dla dokończenia studiów! Och! Jakżebym plunął na nich!”

Pochłonięty tymi ponurymi myślami ledwie raczył słuchać obu pań; każde słowo raziło go jako niedorzeczne, głupie, mdłe, słowem *kobiece*.

Papłąc byle co dla podtrzymania rozmowy, pani de Rênal wspomniała, że mąż przybył z Verrières, ponieważ zamówił u jednego z dzierżawców kukurydzianą słomę. (W tych stronach używa się kukurydzianej słomy do wypychania sienników).

– Mąż nie wróci – dodała – zajęty jest z ogrodnikiem i służącym zmienianiem słomy w siennikach w całym domu. Rano załatwili się z pierwszym piętrem, teraz poszli na drugie.

Julian zbladł, spojrzawszy znacząco na panią de Rênal i przyspieszając kroku odciągnął ją na stronę. Pani Derville puściła ich przodem.

– Ratuj mnie pani – wykrzyknął – pani jedna to może; wie pani, że lokaj nienawidzi mnie śmiertelnie. Muszę się przyznać: w sienniku w moim łóżku schowany jest portret.

Na te słowa pani de Rênal znowuż pobladła.

– Pani jedna może w tej chwili wejść do mego pokoju; niech

pani sięgnie tak, aby nikt nie widział, do siennika, w rogu blisko okna; znajdzie tam pani czarne pudzderko.

– W nim portret... – rzekła pani de Rênal, ledwie mogąc utrzymać się na nogach.

Julian spostrzegł jej wzruszenie i skorzystał z niego w lot.

– Mam panią prosić o drugą łaskę: błagam, aby pani nie oglądała portretu, to moja tajemnica.

– Tajemnica! – powtórzyła pani de Rênal gasnącym głosem.

Ale mimo iż wzrosła między ludźmi dumnymi z majątku i wrażliwymi jedynie na pieniądze, dusza jej wyszlachetniała już przez miłość. Okrutnie zraniona, pani de Rênal zdobyła się wszelako na akcent szczerego poświęcenia, zadając Julianowi parę niezbędnych pytań.

– Zatem – rzekła, odchodząc – okrągłe pudełko z czarnego kartonu?

– Tak, pani – odparł Julian z owym twardym wejrzeniem, jakie przybierają mężczyźni w chwilach niebezpieczeństwa.

Weszła na drugie piętro, blada, jak gdyby szła na śmierć. Na domiar nieszczęścia czuła, iż bliska jest omdlenia; ale chęć ratowania Juliana dodała jej siły.

– Muszę mieć to pudełko – rzekła, przyśpieszając kroku.

Usłyszała, jak mąż mówił coś do służącego: byli w pokoju Juliana; szczęściem przeszli do pokoju dzieci. Podniosła materac i zanurzyła rękę w sienniku tak gwałtownie, że sobie podrapała palce. Ale mimo że bardzo wrażliwa na ból, nie czuła zgoła nic, gdyż w tej chwili zmacała pudełko. Chwyliła je i wyszła.

Ledwie znalazła się poza niebezpieczeństwem, zrobiło się jej słabo.

Julian zakochany! To portret kobiety, którą kocha!

Osunąwszy się na krzesło, pani de Rênal przechodziła wszystkie męki zazdrości. Znowuż naiwność przyszła jej z pomocą: zdumienie paraliżowało ból. Julian wszedł, chwycił pudełko, nie dziękując, bez słowa; pobiegł do swego pokoju, rozniecił ogień i spalił je w jednej chwili. Był blady, bez tchu; przesadzał rozmiar minionego niebezpieczeństwa.

„Portret Napoleona – mówił, potrząsając głową – u człowieka, który popisuje się taką nienawiścią do *uzurpatora*! Gdyby go dostał w ręce pan de Rênal, taki klerykał i taki wściekły na mnie! W dodatku z odwrotnej strony kilka wierszy kreślonych moją ręką, niezostawiających żadnej wątpliwości co do bezmiaru mego uwielbienia! i każdy z tych wybuchów miłości nosi datę! Ostatni z przedwczoraj.

Cała moja reputacja obalona, obrócona w niwecz w jednej chwili! – powtarzał Julian, patrząc na płonące pudełko – a moja reputacja to całe moje mienie, żyję tylko nią... a i to jeszcze co za życie, wielki Boże!”

W godzinę później znużenie i litość dla samego siebie nastroiły go tkliwie. Spotkał panią de Rênal, ujął jej rękę i ucałował szczerzej niż kiedykolwiek. Zarumieniła się ze szczęścia i prawie w tej samej chwili odepchnęła Juliana w paroksyzmie gniewu i zazdrości. Duma Juliana, tak świeżo zraniona, sprawiła, że postąpił jak głupiec. Widział w pani de

Rênal jedynie bogaczkę; puścił jej rękę ze wzgardą i oddalił się. Zadumany przechadzał się po ogrodzie; niebawem gorzki uśmiech wykwitł na jego wargach.

„Przechadzam się tutaj spokojnie jak człowiek rozrządzający swoim czasem! Nie zajmuję się dziećmi! Narażam się na słuszne zniewagi pana de Rênal”.

Poszedł do chłopców. Pieszczoty najmłodszego, którego bardzo lubił, ukoiły nieco piekący ból.

„Ten nie pogardza mną jeszcze” – myślał Julian. Ale niebawem zaczął sobie wyrzucać to roztkliwienie, nowy objaw słabości. „Te dzieci pieszczą mnie tak, jakby pieściły młodego psa, którego mają od wczoraj”.

X. Wielkie serce i mała dola

*But passion most dissembles, yet betrays
Even by its darkness; as the blackest sky
Foretells the heaviest tempest.*

Don Juan, I, 75.

Pan de Rênal, oszczędzając wszystkie pokoje, wrócił do sypialni dzieci ze służbą, która odnosiła sienniki. Widok jego był dla Juliana kroplą wody, która przelała naczynie.

Ponury, bledszy niż zwyczajnie rzucił się ku niemu. Pan de Rênal zatrzymał się, spojrzawszy na służących.

– Panie – rzekł Julian – czy pan przypuszcza, że z każdym nauczycielem dzieci zrobiłyby takie postępy? A jeżeli nie – ciągnął, nie pozwalając panu de Rênal dojść do słowa – jak pan śmie wyrzucać mi, że je zaniedbuję?

Pan de Rênal, ochłonawszy z przestraszenia, wywnioskował z tonu młodego korepetytora, że ma w kieszeni korzystniejszą propozycję i że go opuści. Gniew Juliana wzrastał.

– Dam sobie radę bez pana – dodał.

– Doprawdy, bardzo mi przykro, że pan się tak przejmuje – odparł pan de Rênal, zająkując się nieco. (Służący stali łóżko tuż koło nich).

– To mi nie wystarcza, proszę pana – ciągnął Julian niemal

bezprzytomny. – Proszę sobie przypomnieć, w jaki ohydny sposób odzywał się pan do mnie i to wobec kobiet!

Pan de Rênal rozumiał aż nadto dobrze, czego żąda Julian, i ciężka walka toczyła się w jego duszy. Przypadkowo Julian w istocie, oszalały z gniewu, wykrzyknął:

– Wiem, dokąd się udać, skoro opuszczę pański dom.

Na te słowa pan de Rênal ujrzał go już u pana Valenod.

– Zatem, proszę pana – rzekł w końcu z westchnieniem i z miną taką, jakby wzywał chirurga dla bolesnej operacji – godzę się. Od pojutrze, to znaczy od najbliższego miesiąca, damę panu pięćdziesiąt franków miesięcznie.

Julian miał ochotę się śmiać, stanął osłupiały: cały gniew znikł.

„Nie dość gardziłem bydlęciem – rzekł sobie. – Oto zapewne szczyt zadośćuczynienia, na jakie może się zdobyć dusza tak podła”.

Dzieci, które słuchały tej sceny z szeroko otwartymi ustami, pobiegły do ogrodu powiedzieć matce, że pan Julian bardzo się gniewał, ale że będzie miał pięćdziesiąt franków miesięcznie.

Julian z przyzwyczajenia udał się za nimi, nie spojrzawszy nawet na pana de Rênal, którego zostawił w stanie silnego podrażnienia.

„Hm – mówił sobie mer – ten Valenod kosztuje mnie sto sześćdziesiąt osiem franków. Muszę mu powiedzieć parę ciepłych słów w sprawie jego dostaw do podrzutków”.

W chwilę potem Julian stanął znów przed panem de Rênal.

– Potrzebuję w sprawach mego sumienia widzieć się z księdzem Chélan; mam zaszczyt uprzedzić, że przez kilka godzin będę nieobecny.

– Ależ, drogi panie Julianie – rzekł mer, śmiejąc się nieszczercze – cały dzień, jeśli pan chce, i cały jutrzejszy. Niech pan weźmie konia od ogrodnika.

„Aha – pomyślał – idzie dać odpowiedź panu Valenod; nic mi nie przyrzekł, ale trzeba dać ochłonać tej gorącej głowie”.

Julian wymknął się szybko i zapuścił się w lasy, którymi można się dostać z Vergy do Verrières. Nie chciał zbyt rychło przybyć do księdza Chélan; niepilno mu było do nowej sceny obłudy. Potrzebował rozpatrzeć się jasno w swej duszy, dać głos przeróżnym uczuciom, jakie nim miotają.

„Wygrałem bitwę – rzekł, znalazłszy się w lesie z dala od spojrzeń ludzkich – wygrałem bitwę!”

Słowo to odmalowało mu jego położenie w pięknych kolorach i uspokoiło go nieco.

„Mam tedy pięćdziesiąt franków miesięcznie. Musi pan de Rênal mieć tęgiego stracha. Ale przed czym?”

Dociekanie, co mogło przestraszyć szczęśliwego i potężnego człowieka, na którego przed godziną jeszcze wrzał cały gniewem, do reszty rozpogodziło Juliana. Przez chwilę czuł się niemal upojony czarem cudnego lasu. Olbrzymie złomy skały zwały się tu niegdyś z gór. Wielkie buki wznosiły się prawie tak wysoko jak skały, których cień dawał rozkoszny chłód na parę kroków od miejsc palonych nieznośnym żarem.

Julian wytchnął chwilę, po czym zaczął piąć się na nowo. Niebawem idąc wąską, ledwie widzialną ścieżką wydeptaną przez pasterzy, znalazł się na szczycie turni z poczuciem przestrzeni dzielącej go od świata. Uśmiechnął się: stanowisko to było symbolem pozycji, jaką tak żarliwie pragnął osiągnąć. Czyste, górskie powietrze wlało pogodę, nawet radość w jego duszę. Burmistrz był wprawdzie ciągle w jego oczach wcieleniem bogaczy i gnębieli, ale Julian czuł, że nienawiść jego nie ma mimo swej gwałtowności nic osobistego. Gdyby stracił z oczu pana de Rênal, w ciągu tygodnia zapomniałby o nim, o jego zamku, psach, dzieciach i całej rodzinie.

„Zmusiłem go, sam nie wiem jak, do najcięższej ofiary. Jak to! Więcej niż pięćdziesiąt dukatów rocznie? Chwilę przedtem ocaliłem się z największego niebezpieczeństwa. Oto dwa zwycięstwa w ciągu dnia; drugie nie jest moją zasługą, trzeba by odgadnąć jego sprężyny. Ale do jutra z mędrkowaniem”.

Stojąc na wysokiej skale, Julian spoglądał w niebo gorejące sierpniowym słońcem. W polu poniżej śpiewały koniki polne; skoro milkły, wszystko dokoła stawało się ciszą. Widział u swoich stóp okolicę na dwadzieścia mil wokoło. Spomiędzy skał wzbijał się nad jego głową jastrząb i zakreślał w milczeniu olbrzymie koła. Oko Juliana goniło machinalnie drapieżnego ptaka. Uderzały go jego spokojne i potężne ruchy; zazdrościł tej siły, zazdrościł tej samotności.

To był los Napoleona; czy będzie kiedy jego losem?

XI. Wieczór

*Yet Julia's very coldnes still was kind.
And tremulously gentle her small hand
Withdrew itself from his, but left behind
A little pressure, thrilling, and so bland
And slight, so very slight that to the mind
'Twas but a doubt.*

Don Juan, I, 71.

Ale trzeba pokazać się w Verrières. Szczęśliwym trafem, wychodząc z plebanii, Julian spotkał pana Valenod, któremu opowiedział skwapliwie o podwyżce pensji.

Wróciwszy do Vergy, Julian zszedł do ogrodu aż z zapadnięciem nocy. Dusza jego była zmęczona wzruszeniami tego dnia. „Co ja im powiem?” – pytał z niepokojem, myśląc o paniach. Nie zdawał sobie sprawy, że właśnie dusza jego znajduje się na poziomie drobnych okoliczności, którymi zazwyczaj interesują się kobiety. Często Julian był zagadką dla pani Derville, a nawet dla jej przyjaciółki, i nawzajem on sam na wpół tylko rozumiał to, co one doń mówiły. Przyczyną tego była siła i, jeśli wolno się tak wyrazić, rozpięcie namiętności, jakie poruszały duszę ambitnego chłopca. W tym dziwnym sercu prawie co dzień szalała burza.

Wchodząc tego wieczoru do ogrodu, Julian skłonny był

dostroić się do tonu ładnych kuzynek. Czekwały go niecierpliwie. Usiadł na zwykłym miejscu, obok pani de Rênal. Niebawem zapadła głęboka ciemność. Chciał ująć białą rękę, którą od dawna widział blisko siebie, opartą o poręcz. Ręka zawahała się chwilę, wreszcie cofnęła się z gestem niezadowolenia. Julian gotów był pogodzić się z losem i dalej wieść wesołą rozmowę, kiedy usłyszał kroki pana de Rênal.

Chłopak miał jeszcze w uszach obelżywe słowa usłyszane rano. „Czyżby to nie był – rzekł sobie – wspaniały sposób zadrwienia z tego człowieka, tak obsypanego darami fortuny, trzymać za rękę jego żonę właśnie w jego obecności? Tak, ja to uczynię, ja, z którym obszedł się tak wzgardliwie”.

Spokój Juliana, tak obcy jego charakterowi pierzchnął, całą duszę jego wypełniło zaprawne lękiem pragnienie, aby pani de Rênal zechciała mu dać swą rękę.

Pan de Rênal, silnie poirytowany, zaczął mówić o polityce: chodziło o paru przemysłowców, którzy wyrósłszy mu ponad głowę majątkiem, próbowali pokrzyżować wybory. Pani de Derville słuchała. Julian, podrażniony tymi wywodami, przysunął krzesło do pani de Rênal. Ruchy jego ginęły w ciemności. Odważył się oprzeć rękę tuż przy ładnym ramieniu, które wychylało się obnażone z sukni. Zamęt jakiś ogarnął jego myśli, nie wiedział, co robi; zbliżył policzek do tego pięknego ramienia, ośmielił się położyć na nim wargi.

Pani de Rênal zadrżała. Mąż był o cztery kroki; czym prędzej dała rękę Julianowi, odpychając go równocześnie nieco. Gdy

pan de Rênal miotał dalej zniewagi na bogacących się chłystków i jakobinów, Julian okrywał dłoń jego żony namiętnymi pocałunkami: takimi wydawały się przynajmniej pani de Rênal. A jednak tegoż nieszczęsnego dnia biedna kobieta miała dowód, że człowiek, którego ubóstwiała, nie przyznając się do tego przed sobą, kocha inną! Przez cały czas nieobecności Juliana była pastwą straszliwej boleści, która pobudziła ją do zastanowienia.

„Jak to! Czyżbym kochała? – mówiła sobie. – Miałażby to być miłość? Ja, kobieta zameżna, byłabym kochana? Ależ – mówiła sobie – nigdy mąż nie budził we mnie tego dzikiego szału, który sprawia, że nie mogę oderwać myśli od Juliana. W gruncie rzeczy to dziecko pełne szacunku dla mnie! To szaleństwo minie. Cóż obchodzą mego męża uczucia moje dla tego chłopca? Jego znudziłyby rozmowy, jakie prowadzę z Julianem o rzeczach duchowych, on myśli tylko o interesach. Nie krzywdzę go w niczym dla Juliana”.

Ani cień obłudy nie mącił tej czystej, naiwnej duszy, zbłąkanej nieznaną dotąd namiętnością. Błądziła, ale bezwiednie: cnota jej wszelako wzdrygała się instynktownie. Takie walki toczyły się w pani de Rênal, kiedy Julian zjawił się w ogrodzie. Usłyszała jego głos; równocześnie prawie chłopiec usiadł przy niej. Duszą jej owładnęło owo błogie szczęście, które od dwóch tygodni bardziej jeszcze zdumiewało ją, niż pociągało. Wszystko było dla niej niespodzianką. Po chwili jednak rzekła sobie: „Wystarczy tedy obecność Juliana, aby zmasać wszystkie jego winy?” – Przelekła się: wówczas cofnęła rękę.

Namiętne pocałunki, jakich nie znała dotąd, zatarły w jej pamięci myśl, że on może kocha inną kobietę. Niebawem przestał być winnym w jej oczach. Dotkliwy ból zrodzony podejrzeniem znikł wobec szczęścia, o jakim pani de Rênal nawet nie marzyła: ogarnął ją szal miłości i wesela. Wieczór ten był uroczy dla wszystkich z wyjątkiem dla pana mera, który nie mógł strawić zbogaconych²⁶ przemysłowców. Julian zapomniał o swej posępnej ambicji, o projektach tak trudnych do wykonania. Pierwszy raz w życiu uległ czarowi piękności. Zatopiony w mglistym i słodkim marzeniu, tak obcym jego naturze, przyciskając łagodnie tę śliczną rękę, słuchał z roztargnieniem szumu liści poruszanych lekkim wiatrem oraz dalekiego szczekania psów.

Ale wzruszenie to było rozkoszą, nie miłością. Idąc do swego pokoju, myślał tylko o jednym szczęściu, mianowicie aby wrócić do swej ulubionej książki; w dwudziestym roku myśl o świecie i o czekającej w nim roli przeważa wszystko.

Niebawem jednak odłożył książkę. W miarę jak wgłębiał się w zwycięstwa Napoleona, ujrzał coś nowego w swoim własnym. „Tak, wygrałem bitwę – rzekł – trzeba zmiażdżyć pychę tego szlachetki, gdy się cofa. To najczystsza metoda napoleońska. Muszę go poprosić o trzy dni urlopu dla odwiedzenia mego przyjaciela. Jeśli odmówi, dam mu jeszcze raz wóz albo przewóz; ale on ustąpi!”

Pani de Rênal nie mogła zmrużyć oka. Zdawało się jej, że nie

²⁶ *zbogacony* – dziś: *wzbogacony*. [przypis edytorski]

żyła do tej chwili. Nie mogła się oderwać od rozkosznej myśli o pocałunkach, jakimi Julian okrywał jej rękę.

Naraz błysło jej okropne słowo: cudzołóstwo. Wszystko, czym najohydniejsza rozpusta może pokalać pojęcie fizycznej miłości, nasunęło się jej wyobraźni. Myśli te siliły się zaćmić tkliwy i boski obraz Juliana oraz szczęście kochania go. Przyszłość jawiła się jej w straszliwych barwach. Czuła się nędznicą.

Był to straszny moment; dusza jej wchodziła w nieznanne kraje. W wilię zakosztowała nieznanego wprzód szczęścia; obecnie zanurzyła się w okrutnej męczarni. Nie miała najmniejszego pojęcia o takich cierpieniach; odchodziła od zmysłów.

Przez chwilę przyszło jej do głowy wyznać mężowi, że się boi pokochać Juliana. W ten sposób mówiłaby choć o nim! Szczęściem przypomniała sobie przestrogę ciotki w dzień ślubu: aby się nigdy nie zwierzać mężowi, który ostatecznie jest *panem*. W bezmiarze bóleści pani de Rênal łamała ręce.

Szarpały ją okrutne i sprzeczne obrazy. To lękała się, że Julian jej nie kocha, to dręczyło ją straszliwe poczucie zbrodni, jak gdyby nazajutrz miała się znaleźć pod pręgierzem, na placu, z napisem objaśniającym pospólstwo o cudzołóstwie, którego się dopuściła.

Pani de Rênal nie miała pojęcia o życiu; nawet na jawie i w pełni rozumu nie dostrzegłaby różnicy między winą w obliczu Boga a piętnem powszechnej wzgardy.

Kiedy ochłonęła nieco z myśli o wiarołomstwie i o hańbie,

jaką w jej pojęciu zbrodnia ta wlecze za sobą, kiedy zatonąła w marzeniach o słodczy niewinnego życia obok Juliana jak wprzód, naraz ogarniała ją straszliwa myśl, że Julian kocha inną. Widziała jeszcze jego bladość na myśl, że postrada *jej* portret lub też narazi ją, wydając go obcym spojrzeńiom. Pierwszy to raz ujrzała lęk na tej spokojnej i szlachetnej twarzy. Nieznośny ból doszedł do nasilenia, w którym duszy ludzkiej nie podobna go udźwignąć. Bezwiednie pani de Rênal wydała krzyk, który obudził pokojową. Naraz ujrzała koło łóżka błysk światła i poznała Elizę.

– Ciebie kocha? – wykrzyknęła nieprzytomna.

Pokojówka zdumiona stanem swej pani nie zwróciła na szczęście uwagi na to szczególne pytanie. Pani de Rênal zrozumiała swą nierozwagę.

– Mam gorączkę – rzekła – zdaje się trochę maligny; zostań przy mnie.

Rozbudzona i zmuszona panować nad sobą uczuła się mniej nieszczęśliwa: rozsądek odzyskał władzę postradaną w tym półsennym stanie. Aby się uwolnić od wzroku pokojówki, kazała jej czytać gazetę. Przy dźwięku jednostajnego głosu dziewczyny czytającej długi artykuł z *Quotidienne* pani de Rênal powzięła cnotliwe postanowienie, aby skoro ujrzy Juliana, zachować najzupełniejszą obojętność.

XII. Podróż

*W Paryżu znajdują się ludzie elegancy, na prowincji
mogą się znaleźć ludzie z charakterem.
Sièyes.*

Nazajutrz o piątej rano, nim pani de Rênal pojawiła się, Julian uzyskał u mera trzydniowy urlop. Wbrew swemu oczekiwaniu Julian pragnął ją widzieć, myślał o jej pięknej ręce. Zeszedł do ogrodu, gdzie pani de Rênal dała długo na siebie czekać. Ale gdyby Julian kochał, byłby ją ujrzał za uchyloną żaluzją na piętze, z czołem przylepionym do szyby. Patrzała nań. Wreszcie mimo postanowień zeszła do ogrodu. Zwykła jej bladość ustąpiła miejsca żywym kolorom. Ta kobieta tak pełna prostoty wyraźnie była wzburzona: uczucie przymusu, a nawet gniewu mąciło wyraz pogody jak gdyby unoszącej się ponad pospolitymi interesami życia i dającej tyle uroku tej niebiańskiej twarzy.

Julian zbliżył się żywo; podziwiał piękne ramiona widniejące spod narzuconego naprędce szala. Chłód poranku podnosił jeszcze blask cery, którą przejścia tej nocy czyniły tym czulszą na wszelkie wrażenia. Ta skromna i wzruszająca piękność, pełna myśli, których nie spotyka się w gminie, ujawniła niejako Julianowi nieznaną dotąd stronę własnej jego duszy. Pochłonięty wdziękami i pożerając je chciwym okiem, nie myślał zgoła o

zycziwym przyjęciu, którego był pewny. Tym bardziej uderzył go lodowaty chłód, jaki pani de Rênal siliła się okazać; zdawało mu się nawet, że dostrzega intencję osadzenia go w miejscu.

Luby uśmiech zamarł mu na ustach; przypomniał sobie stanowisko swoje w społeczeństwie, zwłaszcza w oczach bogatej szlachcianki. W tej chwili twarz jego odbijała jedynie dumę i złość na siebie. Wściekły był, że opóźnił podróż po to, aby doznać upokarzającego przyjęcia.

„Tylko głupiec – powiedział sobie – wpada w gniew na innych; kamień spada, bo jest ciężki. Czy zawsze będę dzieckiem? Kiedyż wreszcie nauczę się dawać ze swej duszy ludziom tylko tyle, ile się im należy za ich pieniądze? Jeśli chcę, aby mnie szanowali i abym ja szanował sam siebie, trzeba im pokazać, że to ubóstwo moje paktuje z ich bogactwem, ale że serce moje jest o tysiąc mil od ich buty i przebywa w sferze zbyt wysokiej, aby je mogły osiągnąć drobne oznaki wzgardy lub łaski”.

Gdy te uczucia cisnęły się tłumnie w duszy młodego preceptora, żywa jego fizjonomia przybrała wyraz obolałej dumy i okrucieństwa. Pani de Rênal zmieszana się. Cnotliwy chłód, jaki chciała nadać powitaniu, ustąpił miejsca wyrazowi życzliwości i zdumienia z powodu nagłej przemiany, na którą patrzyła. Banalne słowa, jakie się wymienia co rano na temat zdrowia, pogody, zastygły obojgu na ustach. Julian, którego myśli nie mąciło uczucie, umiał zaznaczyć wobec pani de Rênal, że swój stosunek do niej uważa za bardzo daleki; nie wspomniał nic o zamierzonej podróży, skłonił się i odszedł.

Gdy spoglądała za nim zmiażdżona posepną dumą, którą czytała w tym tak ujmującym wczoraj spojrzeniu, najstarszy chłopiec, nadbiegając z ogrodu, rzekł, ściskając matkę:

– Mamy wolne, pan Julian jedzie.

Na te słowa pani de Rênal uczuła śmiertelny chłód; cierpiała okrutnie w swym poczuciu moralnym, bardziej jeszcze w poczuciu swej słabości.

Nowe to wydarzenie zaprzątnęło całą jej wyobraźnię; zapomniała o postanowieniach powziętych tej straszliwej nocy. Nie chodziło już o to, aby się opierać temu lubemu chłopcu, ale aby go nie stracić na zawsze!

Nadeszło śniadanie. Na domiar męki pan de Rênal i pani Derville mówili cały czas o wyjeździe Juliana. Mer zauważył coś niezwykłego w tonie preceptora, gdy prosił o urlop.

– Ten chłopak ma z pewnością w kieszeni czyjąś propozycję. Ale temu komuś, choćby to był Valenod, zrzędzie mina, skoro usłyszysz, że trzeba wyłożyć 600 franków rocznie. Wczoraj w Verrières zażądano od niego trzechdniowej zwłoki dla namysłu; dziś rano, aby nie być zmuszony odpowiedzieć mi, panicz puszcza się w góry. Liczyć się z lada bezczelnym chłystkiem, wyrobnikiem! Oto do czegośmy doszli.

„Skoro mąż, który nie wie, jak głęboko zranił Juliana, przypuszcza, że on nas opuści, cóż ja dopiero mam myśleć? – rzekła w duchu pani de Rênal. – Och! Wszystko przepadło”.

Aby móc przynajmniej płakać w spokoju i nie odpowiadać na pytania pani Derville, udała ból głowy i poszła się położyć.

– Och, te kobiety – powtórzył pan de Rênal – zawsze jest coś nie w porządku w tej skomplikowanej maszynerii. – I odszedł, dowcipkując.

Gdy pani de Rênal przechodziła burzę straszliwej namiętności, w jaką zawikłał ją przypadek, Julian wędrował ochoczo wśród najpiękniejszych górskich widoków. Trzeba mu było przebyć łańcuch gór na północ od Vergy. Ścieżka, wznosząc się pomału w bukowym lesie, tworzy liczne skrety na zboczu góry zamykającej od północy dolinę. Niebawem spojrzenia wędrowca, biegnąc nad pagórki określające bieg rzeki od południa, utonęły w żyznych równinach Burgundii i Beaujolais. Mimo iż dusza ambitnego młodzieńca niezbyt była tkliwa na te wrażenia, nie mógł się wstrzymać, aby nie przystanąć od czasu do czasu, ogarniając okiem wspaniały krajobraz.

Wreszcie dosięgnął szczytu wysokiej góry, w koło której trzeba było się przewinać, aby dotrzeć do samotnej doliny, gdzie mieszkał jego przyjaciel, młody handlarz drzewa. Julianowi nie było śpieszno ujrzeć go, jak w ogóle żadnej ludzkiej istoty. Ukryty niby drapieżny ptak wśród nagich skał wieńczących górę, mógł z dala dojrzeć każdego, kto by się przybliżył. Odkrył w prostopadłej niemal skale małą grotę; puścił się ku niej, niebawem znalazł się w tym schronieniu. „Tutaj – rzekł z błyszczącymi radością oczami – ludzie nie zdołają mi uczynić nic złego”. Skusiła go rozkosz spisania swoich myśli; wszędzie gdzie indziej rzecz tak niebezpieczna! Graniasty kamień posłużył mu za pulpit. Pióro jego pomykało, nie widział nic dokoła siebie. W

końcu spostrzegł, iż słońce kryje się za górami, het, daleko za Beaujolais.

– Czemu nie miałbym spędzić tutaj nocy? – rzekł – mam chleb i *jestem wolny!* – Na dźwięk tego wielkiego słowa dusza jego wezbrała radością; obłuda jego sprawiała, że nie był wolny nawet u Fouquégo. Z głową wspartą na rękach Julian trwał w tej grocie szczęśliwszy niż kiedykolwiek, kołyszany marzeniami i pijaństwem wolności. Nie myśląc o tym, patrzył, jak gasną kolejno płomienie zachodzącego słońca. W tej olbrzymiej ciemności dusza jego tonęła w obrazach tego wszystkiego, co sobie wyobrażał, że kiedyś ujrzy w Paryżu. Przede wszystkim – kobieta, o wiele piękniejsza, świetniejsza niż wszystkie, które mógł spotkać na prowincji. Kochał ją namiętnie, posiadał jej wzajemność. Jeśli się rozłączał z nią na chwilę, to jedynie po to, aby się okryć chwałą i zasłużyć na więcej miłości.

Każdy inny młodzieniec, nawet z wyobraźnią Juliana, lecz wychowany pośród smutnych prawd paryskiego życia, obudziłby się w tym punkcie romansu pod ukłuciem zimnej ironii. Znikłyby wielkie czyny i nadzieje, aby ustąpić miejsca znanej maksymie: „Kto rozstaje się z kochanką, naraża się niestety na to, że go zdradzi parę razy dziennie”. Młody kmiotek nie widział nic, co by go dzieliło od najbardziej heroiczych czynów; nic, prócz braku sposobności.

Ale zapadła już głęboka noc, a do sioła, w którym mieszkał Fouqué były jeszcze dwie mile. Nim opuścił grotę, Julian rozniecił ogień i spalił troskliwie wszystko, co napisał.

Zdumiał mocno przyjaciela, pukając do jego drzwi o pierwszej z rana. Fouqué siedział przy rachunkach. Był to wysoki młody człowiek, dość niezręczny, o grubych, twardych rysach i nieskończenie długim nosie. Pod tym odpychającym pozorem fizjonomia jego kryła wiele dobroduszości.

– Pokłóciłeś się z merem, że spadasz tak niespodziewanie?

Julian opowiedział wczorajsze wypadki, przekształcając je odpowiednio.

– Zostań ze mną – rzekł Fouqué – widzę, że znasz de Rênal, pana Valenod, podprefekta, proboszcza; przeniknąłeś charakter i słabostki tych ludzi, mógłbyś stawać przy licytacjach. Rachujesz lepiej ode mnie, będziesz mi prowadził książki: zarabiam grubo. Nie podobna załatwić wszystkiego samemu, biorąc zaś współnika, lękam się, bym nie trafił na hultaja; dlatego co dzień muszę odrzucać doskonałe interesy. Ot, miesiąc temu dałem zarobić sześć tysięcy franków Michaudowi z Saint-Amand, którego nie widziałem od pięciu lat; spotkałem go przypadkiem na licytacji w Pontarlier. Czemu ty byś nie miał zarobić sześciu albo choć trzech tysięcy? Gdybym miał ciebie tego dnia, licytowałbym wyżej i utrzymałbym się przy kupnie. Zostań mym współnikiem.

Propozycja ta zepsuła humor Julianowi i krzyżowała jego szaleństwo. Podczas wieczery, którą przyrzadzili sami niby bohaterowie Homera – Fouqué sam prowadził gospodarstwo – druh pokazywał Julianowi rachunki i dowodził, jak bardzo handel drzewem jest rentowny. Fouqué miał wysokie pojęcie o

inteligencji i o charakterze Juliana.

Skoro wreszcie chłopiec znalazł się w samotnej izdebce, pomyślał: „Prawda, mogę tu zarobić kilka tysięcy, następnie zaś oblec w lepszych warunkach mundur lub sutannę, wedle tego, jaka moda będzie wówczas we Francji. Trochę uzbieranego grosza usunie drobne trudności. Żyjąc samotnie w tych górach, okrzese się trochę z nieświadomości tylu rzeczy stanowiących treść salonów. Ale Fouqué nie ma zamiaru się żenić; powtarza, że samotność mu ciąży. Jasne jest, że jeśli bierze współnika bez kapitału, to w nadziei zyskania towarzysza, który go nie opuści”.

– Mamże oszukiwać przyjaciela? – zawołał wzburzony. Ten chłopak, w którym obłuda i bezwzględność stanowiły zwyczajną drogę do celu, nie mógł w tym wypadku znieść myśli o najmniejszej nielojalności wobec człowieka, który go kochał.

Naraz ogarnęła go radość: miał powód, aby odmówić.

– Jak to! Miałbym zmarnować nędzne kilka lat! Dobić tak do dwudziestego ósmego roku! Ależ w tym wieku Napoleon dokonał już największych czynów! Kiedy uciułam parę groszy, targując wyreby i zabiegając się o względy hultajów, któż mi ręczy, czy będę miał jeszcze ten święty ogień potrzebny, aby zdobyć imię?

Nazajutrz rano Julian odpowiedział spokojnie dobremu Fouqué, który uważał sprawę spółki za ubitą, że powołanie do stanu kapłańskiego nie pozwala mu przyjąć propozycji. Fouqué nie mógł się opamiętać.

– Ależ pomyśl – powtarzał – ja cię biorę za współnika lub,

jeżeli wolisz, dam ci cztery tysiące franków rocznie i ty chcesz wracać do tego pana de Rênal, który tobą gardzi! Kiedy będziesz miał oszczędzonych dwieście ludwików, któż ci broni wstąpić do seminarium! Powiem więcej, podejmuję ci się wystarać o najpiękniejsze probostwo w okolicy. Toć – dodał Fouqué ciszej – ja dostarczam drzewa na opał panom X, Y, Z... Dam im najlepszą dębinę, za którą płacą jak za zwykłe drwa; ale trudno by o lepszą lokatę pieniędzy.

Nic nie mogło przewyciężyć wokacji Juliana. Fouqué pomyślał w końcu, że on ma źle w głowie. Trzeciego dnia rankiem Julian pożegnał przyjaciela. Spędził dzień wśród skał; odnalazł grotę, ale nie miał już spokoju w duszy; odebrała mu go propozycja przyjaciela. Jak Herkules znalazł się nie między występkiem a cnotą, ale między miernością dającą pewny dobrobyt a heroicznymi marzeniami młodości.

„Nie mam tedy prawdziwego charakteru – powiedział sobie; i ta wątpliwość bolała go najwięcej. – Nie jestem z kruszcu, z którego wykuwa się wielkich ludzi, skoro się lękam, aby kilka lat poświęconych pracy na chleb nie odebrało mi owej szczytnej energii, która działa cuda”.

XIII. Ażurowe pończochy

Powieść jest to zwierciadło, które obnosi się po gościńcu.

Saint-Réal

Ujrawszy malownicze ruiny starego kościoła w Vergy, Julian zauważył, że od przedwczoraj ani razu nie pomyślał o pani de Rênal. „W dniu kiedy puszczałem się w drogę ta kobieta przypomniała mi nieskończoną odległość, jaka nas dzieli; potraktowała mnie jak wyrobnika. Z pewnością chciała tym wyrazić żal, że pozwoliła mi ścisnąć swą rękę poprzedniego wieczora... Bądź co bądź, śliczna ręka! A co za wdzięk, co za godność!”

Możliwość zrobienia majątku przy Fouqué m z łagodziła niejako tok myśli Juliana; ubóstwo i nicość przestały go tak upokarzać. Spoglądał na świat niby z wyniosłego cypla; wznosił się nad krańcową nędzę oraz nad dostatek, który jeszcze nazywał bogactwem. Nie umiał się zdobyć na filozofię, ale miał tyle jasności spojrzenia, aby się czuć innym po tej wycieczce.

Uderzyło go głębokie wzruszenie, z jakim pani de Rênal wysłuchiwała sprawozdania z podróży, poprosiwszy go o nie.

Fouqué miał na sercu niedoszłe małżeństwo, zawód miłosny; zwierzył się obszernie Julianowi. Dostąpiwszy szczęścia zbyt wcześnie, spostrzegł, że nie on jeden cieszył się względami

ukochanej. Zwierzenia te uderzyły Juliana; dowiedział się wielu rzeczy nowych. Jego samotne życie utkane z marzeń i nieufności, trzymało go z dala od wszystkiego, co by go mogło uświadomić.

Podczas jego nieobecności życie było dla pani de Rênal pasmem udręczeń wręcz nie do zniesienia; była naprawdę chora.

– Przede wszystkim – rzekła do niej pani Derville, widząc Juliana z powrotem – nie chodź wieczorem do ogrodu, wilgoć zaszkodziłaby ci.

Pani Derville ujrzała ze zdumieniem, że przyjaciółka, którą mąż łajał zawsze za nadmierną skromność w ubraniu, włożyła ażurowe pończochy i śliczne sprowadzone z Paryża pantofelki. Od trzech dni jedyną rozrywką pani de Rênal było przykrawanie i szycie z Elizą letniej sukni z ładnej i modnej lekkiej materii. Suknię ukończono tuż po przybyciu Juliana; pani de Rênal włożyła ją natychmiast. Przyjaciółka nie miała już wątpliwości. „Kocha go, nieszczęśliwa!” – rzekła sobie pani Derville. Zrozumiała całą tę dziwną chorobę.

Widziała, jak pani de Rênal rozmawiała z Julianem. Bładość zajęła miejsce rumieńca; we wzroku utkwionym w oczach młodego preceptora malował się lęk. Czekwała, że powie coś stanowczego, czy zostaje w domu, czy też odchodzi. Julian nie odzywał się ani słowa w tym przedmiocie, nie myślał zresztą o tym. Po straszliwych walkach pani de Rênal ośmieliła się rzec drżącym głosem, w którym odbijała się cała jej miłość:

– Czy opuści pan swoich uczniów dla innej posady?

Drżący głos i spojrzenie pani de Rênal uderzyły Juliana.

„Ta kobieta kocha mnie – pomyślał – ale skoro się upewni, że zostanę, odzyska dawną pychę, pożałuje przelotnej słabości”. W mgnieniu oka ogarnął sytuację i odparł z namysłem:

– Bardzo by mi było przykro opuścić dzieci tak miłe i tak *dobrze urodzone*, ale może będzie trzeba. Mam obowiązki i względem siebie.

Wymawiając owo *dobrze urodzone* (jedno z arystokratycznych wyrażeń, których nauczył się od niedawna), Julian doznał uczucia wstrętu.

„W oczach tej kobiety ja – mówił sobie – nie jestem dobrze urodzony”.

Słuchając go, pani de Rênal podziwiała jego inteligencję, urodę; serce się jej ścisnęło na myśl o rozstaniu. Znajomi, którzy w nieobecności Juliana przybyli na obiad, winszowali jej, jakby z umysłu, zdumiewającego człowieka, jakiego mąż jej miał szczęście odkryć. Nie znaczy to, aby w czymkolwiek byli zdolni ocenić postępy chłopców. Umiał na pamięć Biblię i to po łacinie! Ten fakt przejął Verrières podziwem, który przetrwał może wiek.

Julian, który nie rozmawiał z nikim, nie wiedział o tym. Gdyby pani de Rênal miała bodaj trochę przenikliwości, powinszowałaby mu reputacji, jaką sobie zyskał; w ten sposób, zaspokojony w swej dumie, byłby dla niej miły i słodki, tym bardziej, iż nowa suknia wydała mu się czarująca. Pani de Rênal, też rada z nowej sukni i z pochwał Juliana, chciała się przejść trochę; wkrótce oznajmiła, że nie jest w stanie iść, przyjęła ramię Juliana, a dotknięcie tego ramienia nie tylko nie dało jej sił, ale

odjęło je zupełnie.

Była noc; ledwie usiedli, Julian korzystając z dawnego przywileju ośmielił się przytknąć wargi do ramienia pięknej sąsiadki i ująć ją za rękę. Myślał o przedsiębiorczości Fouquégo wobec kochanek, a nie o pani de Rênal; słowo *dobrze urodzeni* ciążyło mu jeszcze na sercu. Nawet uścisk dłoni nie sprawił mu żadnej przyjemności. Uczucie, które pani de Rênal zdradzała tego wieczora aż nazbyt wyraźnie, nie budziło w nim dumy ani wdzięczności; piękność, wykwint, świeżość zostawiały go niemal obojętnym. Czystość duszy wolna od drgnień nienawiści przedłuża bez wątpienia młodość. U większości ładnych kobiet twarz starzeje się najwcześniej.

Julian był markotny cały wieczór; dotąd dąsał się jedynie na społeczeństwo; od czasu jak Fouqué ofiarował mu płaski sposób zdobycia dobrobytu, wściekły był na siebie. Zatopiony w myślach, mimo że od czasu do czasu odzywał się parę słów do pań, bezwiednie puścił rękę pani de Rênal. Postępek ten wstrząsnął do głębi biedną kobietą, ujrzała w nim obraz swego losu.

Pewna miłości Juliana znalazłaby może w cnocie siłę oporu. Drżąc, że go straci na zawsze, w namiętności swej posunęła się tak daleko, że sama ujęła dłoń Juliana, którą w roztargnieniu oparł o poręcz. Postępek ten obudził z zadumy ambitnego chłopaka: byłby chciał, aby jego świadkiem byli wszyscy ci dumni pankowie, którzy przy stole, gdzie siedział na szarym końcu z dziećmi, przyglądali mu się z protekcyjnym

uśmiechem. „Ta kobieta nie może mną pogardzać; w takim razie mogę ulec jej piękności; wobec samego siebie mam obowiązek zostać jej kochankiem”. Ta myśl nie przyszlaby mu do głowy przed naiwnymi zwierzeniami przyjaciela.

Postanowienie to sprawiło mu przyjemność. Mówił sobie. „Muszę mieć jedną z tych dwóch kobiet”. Wolałby o wiele starać się o względy pani Derville; nie aby była powabniejsza, ale że poznała go już jako szanowanego dla swej wiedzy preceptora, a nie jako chłopaka ciesielskiego w drelichowej bluzie, jak go ujrziała pani de Rênal.

Otóż w pamięci pani de Rênal najwięcej miał uroku wówczas, kiedy jako młody robotnik zarumieniony stał pod furtką, nie śmiejąc zadzwonić.

Rozważając dalej sytuację, Julian osądził, że nie należy myśleć o podboju pani Derville, która zauważyła z pewnością skłonność przyjaciółki. Trzeba wrócić do tamtej. „Co ja wiem o charakterze tej kobiety? – myślał Julian. – Jedyne to: przed mą podróżą ja brałem ją za rękę, ona cofała ją; dziś ja usuwam rękę, ona ujmuje ją i ściska. Ładna sposobność odpłacenia jej wzgardy. Bóg wie, ilu miała kochanków! Wybrała mnie jedynie dla łatwości schadzek”.

Oto, niestety, wynik nadmiernej cywilizacji. W dwudziestym roku dusza młodego człowieka z odrobiną bodaj wykształcenia odległa jest o tysiąc mil od owego zapału, bez którego miłość bywa jedynie najnudniejszym z obowiązków.

„Tym bardziej jesteś sobie winien – ciągnęła drobna próżność

Juliana – zdobyć tę kobietę, iż jeśli kiedyś wypłyniesz i ktoś ci zarzuci podłą kondycję preceptora, będziesz mógł powiedzieć, że to miłość kazała ci przyjąć to miejsce”.

Julian znów cofnął rękę; następnie ujął dłoń pani de Rênal i uściśnął ją. Gdy koło północy wracano do salonu, pani de Rênal szepnęła:

– Opuszcza pan nas, jedzie pan?

Julian odparł z westchnieniem:

– Muszę jechać, bo kocham panią bez pamięci; to grzech, i co za grzech dla młodego kleryka!

Pani de Rênal oparła się na jego ramieniu i pochyliła się tak, że uczuła na twarzy ciepło oddechu Juliana.

Noc spłynęła obojgu bardzo różnie. Pani de Rênal upajała się najgórniejszymi wzlotami wyobraźni. Zalotna młoda dziewczyna przyzwyczajona za młodu do tych wzruszeń, później, kiedy dojdzie wieku prawdziwej namiętności, nie znajduje w niej uroku nowości. Pani de Rênal nie czytywała romansów; wszystkie odcienie szczęścia były dla niej nowe. Żadna smutna prawda nie mroziła jej, nawet widmo przyszłości. W rojeniach swych widziała się równie szczęśliwa za dziesięć lat jak w tej chwili. Myśl o cnocie i wierze małżeńskiej, tak dręcząca przed kilku dniami, próżno nastęrczała się jej duszy; oddalała ją jak natrętnego gościa. „Nigdy nie pozwolę Julianowi posunąć się dalej – myślała – będziemy żyli nadal tak, jak żyjemy od miesiąca. Będzie moim przyjacielem”.

XIV. Angielskie nożyczki

*Szesnastoletnia dziewczyna miała różaną płec i
używała różu.*

Polidori.

Propozycja Fouquégo zmąciła szczęście Juliana; nie mógł się zdobyć na postanowienie.

– Może mi brak charakteru; byłbym lichym żołnierzem Napoleona. Ba! stosuneczek z panią domu rozerwie mnie na chwilę.

Szczęściem dla niego, nawet w tym podrzędnym epizodzie, wnętrze jego niezupełnie było zgodne z zuchwalstwem słów. Onieśmiała go ładna suknia pani de Rênal. Ta suknia była dlań niby awangarda Paryża. Duma jego nie chciała się w niczym poddać przypadkowi i chwili. W myśl zwierzeń Fouquégo oraz mętnych pojęć o miłości zaczerpniętych z Biblii ułożył plan kampanii. Ponieważ, nie przyznając się do tego przed sobą, był bardzo wzruszony, spisał sobie ów plan.

Nazajutrz rano spotkał się na chwilę z panią de Rênal w salonie.

– Czy pan nie ma innego imienia prócz Julian? – spytała.

Na to pochlebne zapytanie, bohater nasz nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie przewidział tej okoliczności. Gdyby nie ten niemądry pomysł, aby *stworzyć plan*, żywy umysł Juliana

znalazłby w tej niespodziance nową podniętę.

Odpowiedział niezdarnie: za chwilę, wyrzucił sobie przesadnie swoje niezgrabstwo. Pani de Rênal przebaczyła je szybko. Widziała w nim rys uroczej naiwności: tego zaś właśnie brakło w jej oczach chłopcu, którego talenty tak podziwiano.

– Ten księżyk nie budzi we mnie zaufania – mówiła niekiedy pani Derville. – Robi wrażenie, że wciąż myśli i że działa jedynie z wyrachowania. To filut.

Julian poczuł się głęboko upokorzony, że nie umiał zręcznie odpowiedzieć pani de Rênal.

„Winien to jestem sobie, aby naprawić tę porażkę!” – myślał. Jakoż chwytając chwilę, gdy przechodzili do drugiego pokoju, uważał za obowiązek pocałować ją.

Było to w równym stopniu nienaturalne, niesmaczne i nieostrożne. Omal że ich nie spostrzeżono. Pani de Rênal myślała, że Julian oszalał. Przeraziło ją to, a zwłaszcza zraziło. Osielstwo to przypomniało jej pana Valenod.

„Cóż by było – pomyślała – gdybym się z nim znalazła sam na sam!”

Wszystkie skrupuły cnoty wróciły, ponieważ miłość pierzchnęła na chwilę. Odtąd pani de Rênal starała się, aby któreś z dzieci zawsze było przy niej.

Dzień spłynął Julianowi mdło; najniezgrabniej silił się przeprowadzać uwodzicielskie plany. Każde spojrzenie jego na panią de Rênal miało swoje znaczenie; mimo to – czuł, że nie udaje mu się być ani miłym, ani tym mniej niebezpiecznym.

Pani de Rênal zdumiona była tym skojarzeniem niezręczności i zuchwalstwa.

„To nieśmiałość serca przy genialnym umyśle! – rzekła sobie wreszcie z niewysłowioną radością. – Byłoby możliwe, że ona, moja rywalka, nigdy go nie kochała!”

Po śniadaniu pani de Rênal przeszła do salonu, aby przyjąć podprefekta, pana Charcot de Maugiron. Haftowała coś na krosienkach: pani Derville siedziała obok. W tej pozycji w biały dzień bohater nasz uznał za stosowne wysunąć but i przycisnąć nóżkę pani de Rênal, której ażurowa pończocha i paryski trzewiczek ściągały chciwie spojrzenia dwornego podprefekta.

Pani de Rênal zlekła się straszliwie; upuściła nożyczki, kłębek, igły; gest Juliana mógł uchodzić za niezręczną chęć złapania nożyczek. Szczęściem małe angielskie nożyczki złamały się: pani de Rênal zaczęła ubolewać, że Julian się nie znalazł bliżej.

– Spostrzegł pan, że lecą, byłby je pan schwycił, gdy tak gorliwość pańska zdała się tylko na to, że mnie pan pokopał.

Wszystko to oszukało podprefekta, ale nie panią Derville. „Ładny chłopiec, ale straszny cham – pomyślała: etykieta prowincjonalna nie przebacza tego rodzaju błędów. Pani de Rênal znalazła chwilę, aby szepnąć Julianowi:

– Proszę być ostrożniejszym; rozkazuję panu.

Julian czuł swoje niezgrabstwo i był wściekły. Długo zastanawiał się, czy ma się obrazić o to: *rozkazuję panu*. Głuptas rozumował tak: mogłaby mi powiedzieć *rozkazuję*,

gdyby chodziło o wychowanie dzieci; ale odwzajemniając miłość, stawia się ze mną na stopie równości. Nie można kochać bez *równości*... Tu zapuścił się myślą w komunały o równości. Podrażniony, powtarzał sobie wiersz Corneille'a, który usłyszał parę dni wprzód w ustach pani Derville:

Nie! równości nie szuka miłość, lecz ją stwarza.

Julian, siląc się odgrywać don Juana, mimo że nie miał pojęcia, co to kobieta, zachowywał się cały dzień jak skończony głupiec. Jedną miał tylko szczęśliwą myśl: znudzony sobą i panią de Rênal, patrzył z lękiem na zbliżanie się wieczoru, kiedy znajdzie się w ogrodzie, obok niej i po ciemku. Oświadczył panu de Rênal, że idzie do proboszcza; wyszedł po obiedzie i wrócił aż w nocy.

W Verrières zastał księdza proboszcza Chélan zajętego przenosinami; usunięto go ostatecznie, miejsce jego obejmował wikary Maslon. Julian pomógł zacnemu staruszkowi, po czym wpadł na myśl, aby napisać do Fouquégo. Pisał, iż nieprzewyciężona wokacja nie pozwoliła mu przyjąć jego przyjacielskiej ofiary; obecnie jednak, patrząc na jaskrawy przykład niesprawiedliwości, zastanawia się, czy nie będzie korzystniej dla jego zbawienia wyrzec się myśli o stanie duchownym.

Dumny był, że tak sprytnie wyzyskał usunięcie proboszcza, aby sobie zostawić furtkę i wrócić do handlu, o ile w duszy jego mizerna trzeźwość odniesie zwycięstwo nad heroizmem.

XV. Pianie koguta

*Amour en latin faict amor;
Or done provient d'amour le mort,
Et, par avant, soulcy qui mord,
Deuil, plours, pieges, forfaitz, remords.*

Blason d'Amour.

Gdyby Julian miał nieco tego sprytu, który sobie tak bezzasadnie przypisywał, byłby nazajutrz dumny z rezultatu swej wycieczki. Nieobecność zatarła pamięć jego niezgrabstwa. Cały dzień dąsał się znowu; wieczór zaś strzeliła mu do głowy niedorzeczna myśl, której udzielił pani de Rênal z rzadkim zuchwalstwem.

Ledwie usiedli w ogrodzie, Julian, nie czekając, aż się dostatecznie ściemni, zbliżył usta do ucha pani de Rênal i narażając ją straszliwie rzekł:

– Dziś w nocy o drugiej przyjdę do pani pokoju, mam pani coś do powiedzenia.

Drżał z pragnienia, aby się nie zgodziła; rola uwodziciela ciążyła mu niezmiernie. Chętnie schowałby się na kilka dni, nie pokazując się paniom na oczy. Rozumiał, iż swą uczoną taktyką wczorajszą zniweczył wszystkie piękne pozory z poprzedniego dnia i doprawdy nie wiedział, z której beczki zacząć.

Pani de Rênal przyjęła tę bezczelną propozycję ze szczerym,

wcale nieprzesadnym oburzeniem. Julian dopatrywał się wzgardy w jej krótkiej odpowiedzi, wyrzeczonej szeptem. Pod pozorem zajrzenia do dzieci wyszedł, za powrotem zaś usiadł koło pani Derville, z dala od pani de Rênal, pozbawiając się możliwości ujęcia jej za rękę. Rozmowa weszła na tory poważne; Julian podtrzymywał ją z powodzeniem, poza paru chwilami milczenia, przez które łamał sobie głowę. „Gdybyż wynaleźć jaki sposób – dumał – aby wymusić na pani de Rênal owe niedwuznaczne objawy czułości, które pozwalały wierzyć trzy dni temu, że jest moją!”

Fatalna sytuacja, jaką sam wytworzył, nękała Juliana, ale powodzenie wprowadziłoby go w jeszcze większy kłopot.

Zostawszy sam o północy, rozmyślał na ten temat, że pani Derville nim gardzi, przyjaciółka jej zaś też nie lepsze żywi dlań uczucia.

Upokorzony, wściekły, nie mógł zasnąć. Przez myśl mu nie przeszło poniechać wszelkiego udania, taktyki i ot, żyć z dnia na dzień przy pani de Rênal, zadowolając się jak dziecko szczęściem każdego dnia. Wysilił mózg obmyślaniami uczonych manewrów, które w chwilę potem zdawały mu się niedorzeczne; był, jednym słowem, bardzo nieszczęśliwy, kiedy na zegarze zamkowym wybiła druga.

Dźwięk ten zbudził go jak świętego Piotra pianie koguta. Uczuł się w obliczu najprzykrzejszej konieczności. Bezcelną jego propozycję przyjęto tak źle, że nie pomyślał o niej od tej chwili!

– Powiedziałem, że przyjdę o drugiej – rzekł, wstając – mogę być nieokrzesany prostak, chłopski syn, jak mi dała do zrozumienia pani Derville, ale przynajmniej nie będę tchórzem.

Julian miał prawo szczycić się swym męstwem: nigdy jeszcze nie zadał sobie sroższego przymusu. Otwierając drzwi, drżał tak, że kolana ugięły się pod nim, musiał się oprzeć o ścianę.

Był bez trzewików. Zatrzymał się pod drzwiami pana de Rênal; usłyszał regularne chrapanie. Rozpacz! Nie miał już pozoru, aby nie iść. Boże! Co on tam pocznie? Nie miał planu, a gdyby nawet miał, był tak wzruszony, że nie byłby zdolny go wykonać.

Wreszcie z uczuciem gorszym sto razy, niż gdyby szedł na śmierć, zapuścił się w korytarzyk wiodący do sypialni pani de Rênal. Otworzył drżącą ręką, czyniąc straszliwy hałas.

W pokoju było światło: lampka nocna stała w kominku; nie spodziewał się tego nowego nieszczęścia. Na jego widok pani de Rênal zerwała się.

– Nieszczęśliwy! – krzyknęła. Nocny jej strój był w nieładzie.

Julian zapomniał o swoich czczych planach i wrócił do naturalnych uczuć: niełaska tej uroczej kobiety wydała mu się największym nieszczęściem. Na jej wymówki upadł jej po prostu do nóg, ścisnął jej kolana. Przemawiała doń bardzo surowo, rozplakał się.

Kiedy w parę godzin później Julian wychodził od pani de Rênal, można powiedzieć stylem romansów, że nie zostawało mu nic do życzenia. Zwycięstwo, do którego nie doprowadziłaby

go cała niezręczna przemyślność, zawdzięczał miłości pani de Rênal oraz nieprzewidzianemu wrażeniu, jakie na nim zrobiły jej uroki.

Ale w najśłodszych chwilach party jakąś dziką ambicją jeszcze silił się odgrywać rolę zdobywcy kobiet: dokładał niesłychanych wysiłków, aby niszczyć swój naturalny wdzięk. Zamiast chłonąc uniesienia kochanki, wyrzuty, które podnosiły ich żywość, on nie tracił ani na chwilę myśli o obowiązku. Lękał się wiekuistej zgryzoty i śmieszności, gdyby się odchylił od idealnego wzoru, jaki sobie założył. Słowem, to właśnie, co stanowiło niepospolitość Juliana, broniło mu kosztować szczęścia, ścielącego mu się pod stopy. Był niby szesnastoletnia dziewczyna, która ma rumieńce, a która, idąc na bal, szpeci sobie policzki różem.

Śmiertelnie przerażona zjawieniem się Juliana pani de Rênal stała się niebawem pastwą okrutniejszych wzruszeń. Płacze i rozpacz Juliana wnosiły głęboki zamęt w jej duszę.

Nawet kiedy już wszystko się stało, odpychała Juliana ze szczerym oburzeniem, następnie zaś rzucała się w jego ramiona. Nie było w tym żadnego planu ani zamiaru. Uważała się za potępioną bez ratunku i siliła się przesłonić sobie obraz piekła, obsypując Juliana pieszczotami. Słowem, niczego by nie brakło do szczęścia naszego bohatera, nawet palących wzruszeń posiadanej kobiety, gdyby umiał sycić się tym szczęściem. Odejście Juliana nie położyło kresu wzruszeniom, walkom i wyrzutom pani de Rênal.

– Mój Boże! Być szczęśliwym, być kochanym, więc to tylko to? – to była pierwsza myśl Juliana, skoro wrócił do swego pokoju. Ogarnął go stan owego osłupienia oraz dziwnego zamętu, w jaki popada dusza, skoro otrzyma to, czego dawno pragnęła. Przywykła pragnąć, nie ma już czego pragnąć, a nie ma jeszcze wspomnień. Jak żołnierz po powrocie z rewii, Julian z uwagą przechodził szczegóły swego postępowania. „Czy nie chybiłem w czym samemu sobie? Czy dobrze grałem rolę?”

I jaką rolę! Człowieka nawykłego do popisów niezrównanego kochanka.

XVI. Nazajutrz

*He turn'd his lip to hers, and with his hand
Call'd back the tangles of her wandering hair.*

Don Juan, I, 170.

Szcęściem dla Juliana pani de Rênal była zbyt wzruszona i nieprzytomna, aby spostrzec śmieszności człowieka, który w ciągu jednej nocy stał się dla niej całym światem.

Nakłaniała go, aby wyszedł, widząc, że świta:

– Och Boże – mówiła – jeśli mąż słyszał hałas, jestem zgubiona.

Julian, który w wolnych chwilach obmyślał sobie frazesy, przypomniał sobie taki:

– Żałowałabyś życia?

– Och, bardzo, w tej chwili! Ale nie żałowałabym, zem ciebie poznała.

Julian uważał za obowiązek swej godności wrócić umyślnie w jasny dzień i bez zachowania ostrożności.

Baczność, z jaką obliczał najdrobniejsze uczynki w tej niedorzecznej myśli, aby uchodzić za doświadczonego człowieka, miała tylko jedną korzyść: skoro się spotkał z panią de Rênal przy śniadaniu, zachowanie jego było arcydziełem roztropności.

Ona rumieniła się po białka za każdym spojrzeniem, a nie mogła wytrwać ani chwili, aby nań nie patrzeć: czuła swe pomieszenie, a siląc się je ukryć, mieszała się tym bardziej. Julian raz tylko podniósł na nią oczy. Zrazu pani de Rênal zachwycona była tą ostrożnością; niebawem jednak widząc, że to spojrzenie nie powtarza się, uczuła lęk: „Czyżby mnie już nie kochał? – myślała. – Ach, niestety, za stara jestem dla niego; starsza o dziesięć lat!”

Przechodząc do ogrodu, ścisnęła go za rękę. Zdumiony tym niezwykle objawem uczucia, spojrzał na nią namiętnie; przy śniadaniu wydała mu się bardzo ładna; mimo że miał spuszczone oczy, cały czas rozbierał w myśli jej wdzięki. Spojrzenie to pocieszyło panią de Rênal; nie stłumiło wszystkich niepokojów, ale w zamian niepokoje te tłumili zupełnie wyrzuty i myśli o mężu.

Przy śniadaniu mąż nie zauważył nic; pani Derville przeciwnie; ale sądziła, że pani de Rênal jest dopiero nad przepaścią. Przez cały dzień śmiała i energiczna przyjaciółka starała się za pomocą wymownych aluzji malować w okropnych barwach grożące niebezpieczeństwo.

Pani de Rênal płonęła niecierpliwością, aby zostać sama z Julianem; chciała go spytać, czy kocha ją jeszcze. Mimo niezmaconej słodyczy charakteru kilka razy omal nie dała uczuć przyjaciółce, jak bardzo jest natrętna.

Wieczorem w ogrodzie pani Derville postarała się usiąść między panią de Rênal a Julianem. Pani de Rênal, która

napawała się w myślach rozkoszą ściskania ręki Juliana i tulenia jej do ust, nie mogła się doń nawet odezwać.

Ta przeszkoda wzmogła jej niepokój, dręczyła ją jedna zgryzota. Tak ostro połajęła Juliana za nieostrożność, jaką popełnił, przychodząc do niej poprzedniej nocy, że drżała, iż tej nocy nie przyjdzie. Wcześniej opuściła ogród i poszła czekać na niego w pokoju. Ale nie mogąc opanować niecierpliwości, zakradła się pod drzwi Juliana i przyłożyła do nich ucho. Mimo obawy i namiętności, które ją pożerały, nie śmiała wejść; to wydawało się jej zbyt szpetne.

Służba jeszcze nie spała: ostrożność zmusiła wreszcie panią de Rênal do odwrotu. Dwie godziny oczekiwania zdały się jej dwoma wiekami męczarni.

Ale Julian nadto był wierny temu, co nazywał *obowiązkiem*, aby uczynić wyłom w swoim programie. Z uderzeniem pierwszej wysunął się cicho z pokoju, upewnił się, że Pan domu śpi i zjawił się u pani de Rênal. Tego dnia znalazł więcej szczęścia w objęciach kochanki; nie myślał tak ustawianie o przepisanej roli. Miał oczy ku widzeniu i uszy ku słyszeniu. Lamenty pani de Rênal nad jej wiekiem dodały mu nieco pewności.

– Ach, jestem o dziesięć lat starsza od ciebie! Jak możesz mnie kochać? – powtarzała z całą szczerością, mocując się ustawicznie z tą myślą.

Julian nie pojmował tej troski, ale widział, że jest szczerą i zbył się prawie zupełnie obawy śmieszności. Niedorzeczna myśl, że jego urodzenie może go poniżyć w oczach tej kobiety,

pierzchła również. Uspokojona nieco pieśzcotami Juliana pani de Rênal czuła się lepiej, zarazem odzyskiwała zdolność sądzenia kochanka. Szczęściem tego dnia nie miał zupełnie owej pozy, która sprawiła, że we wczorajszej schadzce znalazł więcej triumfu niż przyjemności. Gdyby spostrzegła w nim grę, smutne to odkrycie zabiłoby w niej na zawsze szczęście. Tego dnia widziała tylko smutne objawy różnicy wieku.

Pani de Rênal nie zastanawiała się nigdy nad teoriami miłości; ale różnica wieku jest po różnicy majątkowej najulubieńszym tematem prowincjonalnych konceptów za każdym razem, kiedy jest mowa o miłości.

W krótkim czasie Julian, odzyskawszy cały zapach młodości, zakochał się bez pamięci.

– Trzeba przyznać – myślał – że jest anielsko dobra i śliczna przy tym.

Zapomniał prawie zupełnie o wszelkich rolach. W chwili wylania, wyznał jej nawet swoje lęki. Zwierzenie to przepełniło miarę miłości pani de Rênal. „Nie miałam wtedy szczęśliwej rywalki” – powtarzała sobie z rozkoszą. Odważyła się spytać o portret, do którego przywiązywał taką wagę; Julian przysiągł, że to był portret mężczyzny.

Kiedy pani de Rênal była nieco przytomniejsza i zdolna do zastanawiania się, nie mogła się nadziwić, że takie szczęście istnieje i że nie przeczuwała go nawet.

„Ach – mówiła sobie – gdybym znała Juliana przed dziesięciu laty, kiedy mogłam uchodzić za ładną”.

Julian obcy był podobnym myśłom. Miłość jego była w znacznej części ambicją; była to radość, że on, nieszczęśliwy, wzgardzony, posiada kobietę tak piękną. Jego uwielbienia, szafy na widok powabów kochanki uspokoiły ją w końcu co do różnicy wieku. Gdyby pani de Rênal знаła życie, jak je zna kobieta trzydziestoletnia w bardziej cywilizowanych krajach, zadrżałaby o trwałość uczucia, które podtrzymywała jedynie ciekawość i upojenie miłości własnej.

W momentach zapomnienia o ambicji Julian podziwiał z zapalem nawet kapelusze, nawet suknie pani de Rênal. Nie mógł się nasyć ich zapachem; otwierał szafę i godziny całe podziwiał piękność i ład jej wnętrza. Pani de Rênal wsparta na nim patrzyła nań; on patrzył na klejnoty, szmatki, które w wilię zameścia wypełniały koszyk weselny.

„Mogłam być za takiego człowieka! – myślała niekiedy pani de Rênal – cóż za płomienna dusza! Cóż za cudowne życie przy nim!”

Julian nigdy nie widział z bliska tych straszliwych przyrządów artylerii kobiecej. „Nie podobna – myślał – aby mogło w Paryżu istnieć coś ładniejszego!” Wówczas szczęście jego zdawało mu się bez zarzutu. Częsty, szczerzy podziw i upojenia kochanki pozwalały mu zapomnieć o czcnych teoriach, pod wpływem których był tak sztywny, tak śmieszny niemal w pierwszym okresie. Czasami mimo nałogu obłudy znajdował przyjemność w tym, aby tej wielkiej damie, która go podziwiała, wyznać swą nieświadomość mnóstwa drobnych zwyczajów. Stanowisko

kochanki podnosiło go. Pani de Rênal znajdowała znowuż słodycz w tym, aby w zakresie tych drobiazgów oświecać niepospolitego chłopca, któremu wszyscy wróżyli wspaniałą przyszłość. Nawet podprefekt i pan Valenod nie mogli się wstrzymać od podziwu dla Juliana, przez co wydawali się pani de Rênal mniej głupi. Pani Derville nie podzielała tych uczuć. Zrozpaczona tym, czego się domyślała, widząc, że głos rozsądku stał się wstrętny kobiecie, która dosłownie straciła głowę, opuściła Vergy bez wyjaśnień: nikt ich zresztą nie wymagał. Pani de Rênal uroniła parę łez, ale wkrótce uczuła zdwojoną pełnię szczęścia. Dzięki temu wyjazdowi była prawie cały dzień sam na sam z kochankiem.

Julian chętnie zanurzał się w tym słodkim obcowaniu; tym chętniej, że za każdym razem, kiedy został sam, trapiła go nieszczęsna propozycja Fouquégo.

W pierwszych dniach nowego życia chłopak ten, który nigdy jeszcze nie kochał i nie był kochany, znajdował taką rozkosz w szczerości, że omal nie wyznał pani de Rênal ambicji wypełniającej dotąd treść jego istnienia. Chętnie poradziłby się jej nawet co do dziwnej pokusy, jaką budziła w nim propozycja Fouquégo, ale drobne wydarzenie uniemożliwiło mu wszelką szczerość.

XVII. Pan wicemer

*O, how this spring of love resembleth
The uncertain glory of an April day,
Which now shows all the beauty of the sun
And by and by a cloud takes all way!*

Two gentlemen of Verona.

Jednego wieczora, o zachodzie słońca, siedząc obok kochanki w sadzie, z dala od natrętów, Julian dumiał głęboko. „Czy wiecznie będą trwały te słodkie chwile?” Duszę jego zaprzętała całkowicie trudność kariery; bolał nad tą niedolą, która kładzie kres dziecięctwu i psuje pierwsze lata niezasobnej młodości.

– Ach! – wykrzyknął – jakąż opatrnością dla młodzieży był Napoleon! Któż go zastąpi? Co zrobią bez niego nieszczęśliwi, nawet bogatsi ode mnie, mający ledwie parę groszy na zdobycie wykształcenia, a nie dość, aby kupić sobie zastępcę w dwudziestym roku i rozpocząć jakąś drogę. Mimo wszystko – dodał z westchnieniem – to nieszczęsne wspomnienie zatruje nam na zawsze wszelkie szczęście!

Naraz ujrzał, że pani de Rênal marszczy brew; przybrała chłodny i wzdurliwy wyraz; pojęcia te wydawały się jej godne lokaja. Wychowana w poczuciu swego dostatku, uważała za rzecz naturalną, że i Julian go posiada. Kochała go tysiąc razy więcej niż życie, a nie dbała o pieniądze.

Julian nie mógł odgadnąć jej myśli. To zmarszczenie brwi sprowadziło go na ziemię. Był na tyle przytomny, aby się wycofać: wytłumaczył szlachetnej pani siedzącej obok na darniowej ławeczce, że powtarzał jedynie słowa swego przyjaciela, handlarza drzewa. Ot, majaczenie niedowiarków!

– Nie zadawaj się już z tymi ludźmi – rzekła pani de Rênal; zachowując jeszcze odcień chłodu, który nagle ustąpił miejsca tkliwości.

To zmarszczenie brwi lub raczej wyrzut z powodu jego nieostrożności było pierwszym rozdarciem atmosfery złudzeń otaczającej Juliana. Rzekł sobie: „Jest dobra i słodka, jest do mnie szczerze przywiązana, ale wychowała się w nieprzyjacielskim obozie. Ba! oni nikogo się tak nie boją, jak zuchów, którzy osiągnąwszy wykształcenie, nie mają na tyle pieniędzy, aby się o coś zaczepić. Co by się stało z tymi jaśnie wielmożnymi, gdybyśmy mogli walczyć równą bronią! Ja na przykład, gdybym był merem, człowiekiem dobrej woli, uczciwym, jakim jest w gruncie pan de Rênal, jakbym ja sobie dał rady z wikarym, panem Valenod i wszystkimi szelmostwami! Jaka sprawiedliwość zapanowałaby w Verrières! To nie są głowy, które by mi mogły stanąć w drodze; co oni wiedzą? Ot, kręcą się po omacku”.

Tego dnia Julian mógł osiąść trwałe szczęście; ale nie umiał być szczerzy. Trzeba było zdobyć się na to, aby wydać bitwę, ale *natychmiast*. Panią de Rênal zdumiało odezwanie Juliana, ponieważ ludzie z *towarzystwa* powtarzali, że

zbytnie wykształcenie młodych proletariuszy to widmo powrotu Robespierre'a. Chłód pani de Rênal trwał dość długo i wydał się Julianowi rozmyślny. Było to stąd, że miejsce chwilowej niechęci spowodowanej jego odezwaniem zastąpił wyrzut, że czymś może uraziła Juliana. Troska ta odbiła się żywo w jej rysach, tak czystych i szczerych, kiedy się czuła szczęśliwa, z dala od natrętów.

Julian już nie śmiał marzyć swobodnie. Ochłonawszy nieco z szałów miłości, uznał, że nierozważnie jest odwiedzać panią de Rênal w jej pokoju. Lepiej, aby ona przychodziła do niego; gdyby ją kto spotkał, tysiąc pozorów mogło usprawiedliwić jej obecność na schodach.

Ale i ten system miał swoje niedogodności. Julian dostał od Fouquégo książki, których on, uczeń teologii, nigdy nie mógłby zażądać w księgarni. Ważył się zaglądać do nich jedynie w nocy. Często byłby bardzo rad, aby mu nie przerywały odwiedziny, których oczekiwanie jeszcze w wilię sceny w sadzie czyniłoby go niezdolnym do czytania.

Dzięki pani de Rênal rozumiał książki w zupełnie nowy sposób. Odważył się ją wypytywać o mnóstwo drobiazgów, których nieświadomość paraliżuje inteligencję młodego człowieka urodzonego poza społeczeństwem, choćby najbardziej obdarzonego z natury.

To wychowanie *miłosne* udzielone przez bardzo niewykształconą kobietę było nader szczęśliwe. Julian ujrzał Wprost społeczeństwo takie, jakim jest dzisiaj. Umysł jego nie

zaćmił się opowiadaniem o tym, czym ono było niegdyś, przed dwoma tysiącami lat lub bodaj przed sześćdziesięciu laty, za czasu Woltera i Ludwika XV. Ku niewymownej radości Juliana zasłona spadła mu z oczu, zrozumiał wreszcie rzeczy, które się działy w Verrières.

Na pierwszym planie ukazały się bardzo zawile intrygi, osnute od dwu lat około prefekta z Besançon. Wchodziły w tę grę i listy z Paryża, kreślone przez najdostojniejsze dłonie. Szło o to, aby pana de Moirod, najpobożniejszego człowieka w okolicy, zrobić nie drugim, ale pierwszym wicemerem Verrières.

Rywalem jego był bogaty fabrykant, którego należało bezwarunkowo zepchnąć na stanowisko drugiego wicemera.

Julian zrozumiał wreszcie półśłówka, które pochwyił, kiedy grube ryby zjeżdżały się na obiad do pana de Rênal. To dostojne towarzystwo mocno zajmowało się ową kandydaturą, gdy reszta miasta, liberałowie, nawet nie podejrzewali jej możliwości. Wagi dodawała okoliczność, iż, jak każdy wie, wschodnią stroną głównej ulicy w Verrières miano cofnąć przeszło o dziesięć stóp, ponieważ droga ta stała się gościńcem królewskim. Otóż jeżeli panu Moirod, który miał trzy domy podlegające tej ustawie, uda się zostać pierwszym wicemerem, a później merem, w razie gdyby pana de Rênal wybrano posłem, zamknąłby oczy i można by podjąć w domach wychodzących na gościniec niedostrzegalne naprawy, przy pomocy których przetrwałyby sto lat. Mimo znanej pobożności i uczciwości pana de Moirod nie ulegało wątpliwości, że będzie *można z nim gadać*, miał bowiem dużo

dzieci. Wśród domów przeznaczonych na zburzenie dziewięć należało do śmietanki Verrières.

W oczach Juliana intryga ta była donioślejsza niż bitwa pod Fontenoy, której nazwę wyczytał pierwszy raz w książkach Fouquégo. Wiele rzeczy zdumiewało Juliana już od pięciu lat, odkąd zaczął chodzić wieczorami do proboszcza. Ale ponieważ dyskrecja i pokora ducha są to główne przymioty adepta teologii, nie podobna mu było pytać o cokolwiek.

Jednego dnia pani de Rênal dała jakiś rozkaz lokajowi męża, owemu wrogowi Juliana.

– Ależ, proszę pani, to dziś ostatni piątek – odparł szczególnym tonem.

– Idź – rzekła pani de Rênal.

– Więc cóż! – rzekł Julian – pójdzie do owego spichrza, który był dawniej kościołem i który teraz świeżo zwrócono religii; ale po co? To jedna z tajemnic, których nigdy nie zdołałem przeniknąć.

– Jest to instytucja bardzo zbawienna, ale nader osobliwa – odparła pani de Rênal. – Kobiety nie mają tam wstępu! Tyle tylko wiem, że wszyscy się tam *tykają*. Nasz lokaj na przykład spotka tam pana Valenod: ten pyszałek, głupiec nie pogniewa się, skoro go nasz Jan zagadnie *per ty*; ba, sam odpowie w tym samym tonie. Jeśli ci zależy na tym, aby wiedzieć, co się tam dzieje, poproszę Maugirona i Valenoda o szczegóły. Płacimy po dwadzieścia franków od każdego służącego, iżby pewnego dnia nie wyrznęli nas.

Czas leciał. Urok kochanki odrywał Juliana od jego posepnej ambicji. Nie mógł z nią mówić o rzeczach smutnych i poważnych, skoro należeli do przeciwnych obozów: okoliczność ta pomnażała bezwiednie szczęście Juliana i wpływ pani de Rênal.

W chwilach, gdy obecność zbyt inteligentnych dzieci kazała się im zamykać w granicach chłodnej i rozsądnej gawędy, Julian bez cienia buntu, patrząc na nią oczami promieniującymi uczuciem, słuchał jej wyjaśnień o tym, jak światek się toczy. Czasem wśród opowiadania o jakimś sprytnym oszustwie przy budowie drogi albo dostawie, pani de Rênal traciła nagle głowę z tkliwości: Julian musiał ją łąać, pozwalała sobie z nim na te same poufałe gesty co z dziećmi. Bo też były dni, w których miała złudzenie, że kocha go jak własne dziecko. Czyż bez ustanku nie musiała odpowiadać na jego naiwne pytania w kwestiach, które dziecku *dobrze urodzonemu* wiadome są w piętnastym roku? W chwilę później podziwiała go jak swego mistrza. Polot jego przerażał ją; z każdym dniem wyraźniej widziała przyszłego wielkiego człowieka w tym młodym kleryku. Widziała go papieżem albo pierwszym ministrem jak Richelieu.

– Czy będę żyła dość długo, aby cię widzieć w twojej chwale? – mówiła do Juliana. – Jest miejsce dla wielkiego człowieka; tron, religia potrzebują go.

XVIII. Król w Verrières

Czy jesteście warci tylko tego, aby was odrzucić niby trupa bez duszy i bez krwi w żyłach?

Przemówienie biskupa w kaplicy

Trzeciego września o dziesiątej wieczór żandarm obudził całe Verrières, galopując główną ulicą; przynosił wiadomość, że Jego Królewska Mość przybędzie w niedzielę. Było to we wtorek. Prefekt zezwalał, to znaczy nakazywał utworzenie straży honorowej; należało rozwinąć możliwą okazałość. Wyprawiono sztafetę do Vergy. Pan de Rênal przybył w nocy i zastał miasto w poruszeniu. Każdy się na coś silił; najobojętniejsi najmowali balkony, aby widzieć króla.

Kto będzie dowodził strażą honorową? Pan de Rênal spostrzegł natychmiast, jak ważne jest w interesie domów skazanych na zburzenie, aby godność ta przypadła panu de Moirod. To mogło mu utorować drogę do stanowiska wicemera. Nic nie można było nadmienić przeciw wysokiej nabożności pana de Moirod, ale faktem jest, iż nigdy nie siedział na koniu. Był to człowiek trzydziestoletni, lękliwy, równie obawiający się spaść z konia, co ośmieszyć się.

Mer kazał go wezwać już o piątej rano.

– Widzi pan, drogi panie, zasięgam pańskiej rady, jak gdybyś już zajmował stanowisko, na które wszyscy przyzwoici

ludzie pana sobie życzą. W tym nieszczęsnym mieście przemysł kwitnie, liberały dochodzą do milionów, sięgają po władzę, potrafią ukuć broń ze wszystkiego. Weźmy pod uwagę interes króla, monarchii, a przede wszystkim naszej świętej religii. Jak pan sądzi, komu powierzyć dowództwo straży?

Mimo straszego lęku, jakim przejmował go koń, pan de Moirod przyjął w końcu ten zaszczyt jako męczeństwo.

– Potrafię godnie wywiązać się z zadania – rzekł.

Zaledwie był czas, aby odświeżyć uniformy, które zostały sprzed siedmiu lat, z okazji przejazdu jakiegoś księcia krwi.

O siódmej przybyła z Vergy pani de Rênal z Julianem i z dziećmi. W salonie zastała pełno żon liberałów, które głosiły zjednoczenie stronnictw i błagały o miejsce dla mężów w straży honorowej. Jedna utrzymywała, że gdyby jej męża nie wybrano, zbankrutowałyby z rozpacz. Pani de Rênal szybko pozbyła się wszystkich. Zdawała się czymś mocno zajęta.

Julian czuł się zdziwiony, a jeszcze bardziej dotknięty tym, że pani de Rênal nie chce mu zdradzić przyczyn roztargnienia. „Przewidywałem to – myślał z goryczą – miłość jej pierzchła wobec szczęścia podejmowania króla w swym domu. Cały ten zgiełk oszołomił ją. Wróci do mnie, skoro arystokratyczne fupy ustąpią jej z mózgu”.

Rzecz osobliwa, kochał ją za to tym więcej.

Tapicerzy uwijali się po całym mieszkaniu; Julian na próżno czyhał na sposobność szepnięcia słówka do pani de Rênal. Wreszcie dopadł ją, kiedy wychodziła z pokoju, niosąc jego

ubranie. Byli sami; chciał coś mówić: uciekła, nie słuchając.

„Głupi jestem, aby kochać podobną kobietę; ambicja uderzyła jej na mózg; oszalała jak jej mąż”.

Tak, i więcej jeszcze: jednym z jej gorących pragnień (nigdy tego nie wyznała Julianowi, aby go nie urazić) była chęć ujrzenia go bodaj przez dzień inaczej niż w tym smutnym czarnym ubraniu. Ze zręcznością w istocie cudowną w tak naturalnej kobiecie uzyskała najpierw u pana de Moirod, później u podprefekta nominację Juliana do straży honorowej z pominięciem młodych ludzi, synów zamożnych fabrykantów, chłopców – dwóch przynajmniej – bardzo nabożnych. Pan Valenod, który zamierzał ofiarować swój powóz najpiękniejszym damom i oprowadzać w całym blasku swoje pyszne normandy, zgodził się oddać jednego konia od pary Julianowi, istocie, którą nienawidził najbardziej pod słońcem. Ale wszyscy gwardziści mieli własne albo pożyczone piękne niebieskie mundury ze srebrnymi epoletami, które błyszcząły wspaniale przed siedmiu laty. Pani de Rênal chciała, aby Julian miał ubranie zupełnie nowe, a zostało ledwie cztery dni, aby posłać do Besançon i sprowadzić uniform, broń, kapelusz, etc., słowem wszystko, co tworzy honorowego gwardzistę. Zabawne jest, że pani de Rênal uważała za nieostrożność kazać robić ubranie Juliana w Verrières. Chciała go zaskoczyć, jego i całe miasto.

Dokonawszy dzieła gwardii honorowej oraz przygotowania *nastrojów*, mer musiał się zająć ceremonią religijną: król nie chciał minąć Verrières, nie odwiedziwszy słynnej relikwii

św. Klemensa przechowywanej w Bray-le-Haut, o milkę od miasta. Pożądany był liczny udział duchowieństwa, z czego wynikły wielkie trudności; ksiądz Maslon, nowy proboszcz, chciał za wszelką cenę uniknąć obecności księdza Chélan. Próżno pan de Rênal przedstawiał mu niebezpieczeństwo tego kroku. Margrabia de la Mole, którego przodkowie byli tak długo namiestnikami prowincji, towarzyszył królowi! Znał od trzydziestu lat księdza Chélan, spyta z pewnością o niego; dowiedziawszy się o dymisji, gotów odwiedzić go z całym orszakiem w jego ustroni. Cóż za policzek!

– Jeśli ten człowiek pojawi się wśród mego duchowieństwa – odparł proboszcz – jestem zhańbiony, tu i w Besançon. Jansenista, wielki Boże.

– Gadaj co chcesz, drogi proboszczu – mówił pan de Rênal – nie narażę rady miasta Verrières na policzek pana de la Mole. Nie znasz go, na dworze jest pełen namaszczenia, ale tu na prowincji jest to nielitościwy kpiarz, żartowniś, rad, kiedy może, spletać figła. Potrafiłby, ot, dla rozrywki, ośmieszyć nas w oczach liberałów.

Zaledwie w noc z soboty na niedzielę, po trzechdniowym zmaganiu się, ambicja księdza Maslon ugięła się wobec strachu mera przemienionego w odwagę. Trzeba było napisać słodki liścik do księdza Chélan z prośbą, aby zechciał wziąć udział w ceremonii, o ile podeszły wiek i niedomagania mu pozwolą. Ksiądz Chélan zażądał karty uczestnictwa dla Juliana, który miał mu towarzyszyć jako poddiakon.

W niedzielę od wczesnego rana tysiące mieszkańców, którzy ściągnęli z gór, zaległy ulice. Dzień był prześliczny. Wreszcie koło trzeciej w tłumie zapanował ruch; spostrzeżono wielki ogień na skale, o dwie mile od Verrières. Sygnał ten zwiastował, że król wkroczył w granice departamentu. Zaczęto bić w dzwony, salwy starej hiszpańskiej armaty należącej do miasta również wyraziły radość z tego wydarzenia. Część ludności wdrapała się na dachy; wszystkie kobiety były na balkonach. Straż honorowa zaczęła się krzątać. Podziwiano świetne uniformy, każdy rozpoznawał krewnego, przyjaciela. Dworowano sobie z pana de Moirod, który ostrożnie, w każdej chwili gotów był chwycić się lęku u siodła. Ale jedno zjawisko przestoniło wszystkie inne: pierwszy jeździec w dziewiątym szeregu, bardzo ładny szczupły chłopiec, którego zrazu nie poznano. Niebawem okrzyk zgorszenia u jednych, milczące zdumienie u drugich dały wyraz powszechnemu wrażeniu. W młodym człowieku dosiadającym jednego z normandów pana Valenod poznano młodego Sorela, syna cieśli. Podniósł się jeden krzyk oburzenia na mera, zwłaszcza wśród liberałów. Jak to! Dlatego że ten podły robociarz przebrany za kleryka jest preceptorem jego smarkaczy, odważa się wpychać go w gwardię honorową z uszczerbkiem tego lub owego z bogatych fabrykantów?

– Ci panowie – mówiła bankierowa – powinni by zrobić jakiś afront temu smarkaczowi urodzonemu w błocie.

– Ba! Kiedy urwis ma szablę – odpowiadał sąsiad – mógłby być na tyle niedelikatny i pokiereszować im gęby.

Uwagi wyższej sosjety były jeszcze jadowitsze. Damy pytały, czy ten gruby nietakt jest dziełem samego mera. Wzgarda jego dla ludzi niskiego pochodzenia była powszechnie znana i uznana.

Podczas gdy tyle języków strzępiło się na nim, Julian czuł się najszcześniejszym z ludzi. Śmiały z natury, trzymał się na koniu lepiej niż większość młodych tubylców górskiego miasteczka. W oczach kobiet czytał, że o nim mowa.

Epolety jego bardziej błyszcząły, ponieważ były nowe. Koń wspinał się co chwila; Julian był w upojeniu.

Szcęście jego nie miało granic, kiedy podczas defilady, w pobliżu starego szańca huk armatni wypłoszył jego konia z szeregów. Istnym cudem nie spadł; od tej chwili uczuł się bohaterem: był oficerem ordynansowym Napoleona i szarżował baterię.

Jedna osoba było szczęśliwsza od niego. Najpierw widziała go z okna ratusza, jak przejeżdżał; następnie wsiadłszy do powozu i czyniąc szybko wielkie koło przybyła na czas, aby z drżeniem ujrzeć, jak koń unosi Juliana z szeregów. Wreszcie puściwszy się galopem drugą bramą, zdołała dopaść drogi, którą król miał przybyć i mogła jechać o dwadzieścia kroków za strażą w tumanach dostojnego kurzu. Dziesięć tysięcy chłopów krzychało: *Niech żyje król!* – gdy mer miał zaszczyt przemawiać do Jego Królewskiej Mości. W godzinę później, kiedy wysłuchawszy przemówień, król miał jechać dalej do miasta, armatka zaczęła walić w przyśpieszonym tempie. Ale zdarzył się wypadek; nie kanonierom, którzy przeszli szkołę pod Lipskiem i pod

Montmirail, ale przyszłemu wicemerowi, panu de Moirod. Koń złożył go miękko w jedynej kałuży, jaka się znajdowała na gościńcu, co spowodowało zamęt, ponieważ trzeba go było wyciągnąć, aby powóz mógł przejechać.

Jego Królewska Mość wysiadła pod pięknym, nowym kościołem, który tego dnia przybrany był bogato karmazynowym sukniem. Król miał spożyć obiad, a zaraz potem wsiąść z powrotem do powozu, aby odwiedzić czcigodną relikwię świętego Klemensa. Zaledwie król wszedł do kościoła, Julian puścił się z powrotem do domu. Tam złożył z westchnieniem błękitny mundur, szablę, epolety, aby przywdziać czarne wyświechtane ubranko. Wsiadł z powrotem na konia i w kilka chwil znalazł się w Bray-le-Haut, na szczycie malowniczego wzgórza.

– Zapał mnoży tych chłopków – pomyślał. – W Verrières nie można się poruszać, a tu, dokoła tego starożytnego opactwa jest ich przeszło dziesięć tysięcy”.

Kościół, wespół zrujnowany przez wandalizm Rewolucji, odbudowano z nastaniem Restauracji wspaniale i zaczynano bąkać o cudach. Julian odszukał księdza Chélan, który połajał go ostro i dał mu sutannę i komżę. Ubrał się spiesznie i obaj księdzem Chélan poszli do młodego biskupa z Agde. Był to siostrzeniec pana de la Mole, świeżo mianowany: on miał pokazać relikwie królowi. Ale nie podobna było odnaleźć biskupa.

Księża niecierpliwili się. Oczekiwali zwierzchnika w

posepnym gotyckim klasztorze starego opactwa. Ściągnięto dwudziestu czterech proboszczów, iżby reprezentowali dawną kapitułę Bray-le-Haut składającą się przed 1789 z dwudziestu czterech kanoników. Nabiadawszy się trzy kwadranse nad młodością biskupa, księża uchwalili, aby ksiądz dziekan udał się do Jego Dostojności uprzedzić, że król przybędzie lada chwila i że czas byłby przejść na chór. Dziekanem był ksiądz Chélan dla swego podeszłego wieku; mimo iż nierad z Juliana, dał mu znak, aby się udał za nim. Julian nosił bardzo godnie swoją komeżkę. Za pomocą jakichś tajemnic eklezjastycznej toalety uczesał bujne faliste pukle zupełnie gładko; ale przez zapomnienie, które zdwoiło gniew księdza Chélan, pod fałdami sutanny można było dostrzec ostrogi gwardzisty.

U wejścia do apartamentów biskupa świetni lokaje, suto szamerowani złotem, ledwie raczyli odpowiedzieć staremu księdzu, że Jego Dostojność nie przyjmuje w tej chwili. Wyśmiano go, kiedy przedkładał, iż w charakterze dziekana szlachetnej kapituły Bray-le-Haut ma o każdej porze przywilej wstępu do celebrującego biskupa.

Zuchwalstwo lokajów oburzyło ambitnego Juliana. Przebiegł korytarze starego opactwa, próbując wszystkich drzwi, które napotkał. Jedne drzwiczki ustąpiły pod jego dłonią: Julian znalazł się w celi wśród pokojowców Jego Dostojności, czarno przybranych, z łańcuchami na szyi. Z pośpiechu Juliana sądzili, że przybywa na wezwanie biskupa i pozwolili mu przejść. Postąpił kilka kroków i znalazł się w wielkiej gotyckiej sali,

bardzo ciemnej i wyłożonej czarnym dębem; z wyjątkiem jednego, okna sklepienie w łuk były zamurowane. Nagie cegły stanowiły smutny kontrast ze starożytnym przepychem boazerii. Wzdłuż ścian tej sali, słynnej wśród burgundzkich antykwariuszy, a zbudowanej około 1470 przez Karola Śmiałego dla odpokutowania jakiegoś grzechu, ciągnęły się bogato zdobione drewniane stalle. Wyobrażone tam były w mozaice z różnokolorowego drzewa tajemnice Apokalipsy.

Ta melancholijna wspaniałość oszpecona widokiem nagich cegieł i świeżego tynku wzruszyła Juliana. Zatrzymał się w milczeniu. W drugim końcu sali, koło jedyne go okna, przez które wnikało światło, ujrzał ruchome zwierciadło oprawne w mahoń. Młody człowiek w fioletowej sukni, w koronkowej komży, z gołą głową, stał przed lustrem. Sprzęt ten wydawał się dziwny w tym miejscu; przywieziono go zapewne z miasta. Julian zauważył, że młody człowiek ma minę poirytowaną; prawą ręką rozdawał poważne błogosławieństwa w stronę lustra.

„Co to może znaczyć? – pomyślał. – Czy ten młody księżyk dopełnia jakiej wstępnej ceremonii? To może sekretarz biskupa... Będzie niegrzeczny, jak ci lokaje... A no cóż, mniejsza! Próbujemy”.

Ruszył naprzód i przebył dość wolno całą długość sali, wciąż z oczami zwróconymi w stronę, gdzie młody człowiek uroczystym gestem bez przerwy rozdawał tysiączne błogosławieństwa.

W miarę jak się zbliżał, mógł tym wyraźniej oglądać zagniewaną minę młodego księżyka. Na widok bogatej

koronkowej komży zatrzymał się mimo woli o kilka kroków od wspaniałego zwierciadła.

„Obowiązkiem moim jest zagadać doń” – rzekł sobie wreszcie; ale piękność sali onieśmieliła go; przy tym z góry już czuł się przykro dotknięty opryskliwością, jakiej się spodziewał.

Młody człowiek, spostrzegłszy Juliana w lustrze, odwrócił się i wyopadzając twarz, rzekł łagodnie:

– I cóż, drogi panie, gotowe wreszcie?

Julian zdumiał się. W chwili, gdy młody człowiek się odwracał, Julian ujrzał krzyż na jego piersiach: był to biskup z Agde.

„Taki młody – pomyślał Julian – najwyżej sześć lub siedem lat starszy ode mnie!...”

I zawstydził się swoich ostróg.

– Wasza Dostojność – odparł nieśmiało – przychodzę z polecenia dziekana kapituły, księdza Chélan.

– A, tak! Bardzo gorąco mi go rekomendowano – rzekł biskup grzecznym tonem, który podwoił zachwyty Juliana. – Przepraszam bardzo, myślałem, że pan mi przyniósł infułę. Żle mi ją zapakowano w Paryżu; srebrna lama uszkodziła się mocno u wierchołka, to będzie fatalnie wyglądało – dodał młody biskup smutnie – i jeszcze tak mi każą czekać.

– Jeśli Wasza Dostojność pozwoli, przyniosę infułę.

Piękne oczy Juliana zrobiły swoje.

– Proszę bardzo – odparł biskup z czarującą grzecznością – muszę ją mieć natychmiast. Przykro mi bardzo, że kapituła

czeka.

W połowie sali Julian odwrócił się i spostrzegł, że biskup znowu się zabrał do rozdzielania błogosławieństw. „Co to być może? – myślał – to z pewnością jakieś duchowne przygotowanie do ceremonii”. Wszedłszy do celi, w której siedzieli lokaje, ujrzał infułę w ich rękach. Ulegając bezwiednie rozkazującemu spojrzeniu Juliana powierzyli mu infułę Jego Dostojności.

Czuł się dumny, że ją niesie: szedł powoli, trzymał infułę z szacunkiem. Biskup siedział przed lustrem, ale od czasu do czasu prawa jego ręka, mimo iż znużona, udzielała błogosławieństwa. Julian pomógł mu włożyć infułę. Biskup potrząsnął głową.

– Będzie się trzymać – rzekł z zadowoleniem. – Zechce pan oddalić się nieco?

Biskup przeszedł szybko na środek, po czym, zbliżając się wolno do lustra, przybrał znowu stroskaną minę i zaczął poważnie rozdzielać błogosławieństwa.

Julian osłupiał i próbował zrozumieć, ale nie śmiał. Biskup zatrzymał się i spoglądając na chłopca z miną, która straciła nagle uroczysty wyraz, rzekł:

- Co pan powie o infule, dobrze siedzi?
- Bardzo dobrze, Wasza Dostojność.
- Nie zanadto w tył? To by wyglądało trochę głupkowato; ale znowu nie można jej nasuwać na oczy jak czako oficerskie.
- Zdaje mi się, że jest bardzo dobrze.
- Król przywykł widywać duchowieństwo czcigodne i zapewne bardzo poważne. Nie chciałbym, zwłaszcza z przyczyny

mego wieku, wyglądać zbyt płochy.

I biskup zaczął się na nowo przechadzać, rozdając błogosławieństwa.

„To jasne – rzekł sobie Julian, ośmielając się wreszcie zrozumieć – ćwicz się w błogosławieństwach”.

Po paru chwilach, biskup rzekł:

– Jestem gotów. Niech pan zechce uprzedzić księdza dziekana i kapitułę.

Niebawem ksiądz Chélan w towarzystwie dwóch najstarszych księży wszedł przez wspaniałe rzeźbione drzwi, których Julian nie zauważył. Ale tym razem trzymał się na swoim miejscu, ostatni ze wszystkich i mógł oglądać biskupa jedynie poprzez ramiona księży, którzy cisnęli się tłumnie.

Biskup przeszedł z wolna salę; skoro stanął w progu, księża ustawili się procesjonalnie. Po krótkim zamieszaniu procesja ruszyła, intonując psalm. Biskup kroczył ostatni, między księdzem Chélan a drugim proboszczem starowiną. Julian wślizgnął się w pobliże Jego Dostojności jako przydzielony księdzu Chélan. Posuwali się długimi korytarzami, które mimo jarzącego słońca były ciemne i wilgotne. Wreszcie dotarli do przedsionka klasztoru. Julian olśniony był wspaniałością obrzędu. Ambicja rozbudzona młodym wiekiem biskupa, łagodność i doskonała grzeczność tego prałata wniosły zamęt w jego serce. Jakże odbijała ta grzeczność od grzeczności pana de Rênal, nawet gdy się starał być uprzejmy! „Im wyżej ku szczytom – myślał Julian – tym wyborniejszy wdzięk się spotyka”.

Procesja weszła do kościoła bocznymi drzwiami; naraz straszliwy huk wstrząsnął starożytnym sklepieniem; Julian myślał, że mury się wałą. Była to znowu armatka; przywieziona przez osiem koni w galopie przybyła w tej chwili; w mig ustawiona i narządzona przez kanonierów spod Lipska waliła pięć razy na minutę, jak gdyby do Prusaków.

Ale ten wspaniały huk nie robił wrażenia na Julianie; nie myślał już o Napoleonie i o sławie wojskowej. „Tak młody – myślał – już biskup w Agde! Ale gdzie jest to Agde? Ile to przynosi? Dwieście, trzysta tysięcy franków?”

Lokaje Jego Dostojności zjawili się ze wspaniałym baldachimem; ksiądz Chélan ujął jeden drażek, w istocie jednak dźwigał go Julian. Biskup zajął miejsce pod sklepieniem. Osiągnął to, że wyglądał niemal sędziwie: Julian patrzył nań z bezgranicznym podziwem. „Czegóż nie można dokazać przy zręczności!” – myślał.

Wszedł król. Julian miał to szczęście, że widział go bardzo z bliska. Biskup przemówił z namaszczeniem, podkreślając starannie lekki odcień zmieszania, bardzo pochlebny dla Jego Królewskiej Mości. Nie będziemy powtarzali opisu ceremonii; dwa tygodnie wypełniały szpalty miejscowych dzienników. Z przemowy biskupa Julian dowiedział się, że król pochodzi od Karola Śmiałego.

Później przypadła Julianowi funkcja sprawdzenia rachunków uroczystości. Pan de la Mole, który uzyskał dla siostrzeńca infule, wziął przez dworność wobec niego wszystkie koszta na

siebie. Sama ceremonia w Bray-le-Haut kosztowała trzy tysiące osiemset franków.

Po przemowie biskupa i odpowiedzi króla monarcha zajął miejsce pod baldachimem, następnie zaś ukląkł pobożnie na poduszce koło ołtarza. Stalle wznosiły się o dwa stopnie nad posadzkę. Julian usiadł na najniższym stopniu u nóg księdza Chélan, niby paż u stóp kardynała w kaplicy Sykstyńskiej. Nastąpiło *Te Deum*, fale kadzidła, niezliczone salwy z muszkietów i armat; wieśniacy byli pijani ze szczęścia i pobożności. Taki dzień niweczy pracę stu numerów gazet jakobińskich.

Julian był o kilka kroków od króla, który w istocie utonął w modlitwie. Był to człowiek średniego wzrostu, o rozumnym spojrzeniu, ubrany skromnie, prawie bez haftów. Na tym prostym stroju widniała niebieska wstęga wysokiego orderu. Natomiast panowie ze świty mieli ubranie tak zahaftowane złotem, że, jak mówił Julian, nie było widać materii. Jeden z nich, jak się dowiedział w chwilę później, był to margrabia de la Mole. Na oko wydał mu się dumny, nawet wzgardliwy.

„Margrabia nie byłby tak greczny jak ów śliczny biskupek – myślał. – O, tak, stan duchowny daje rozum i słodycz. Ale król przybył, aby oglądać relikwie, a ja tu żadnej relikwii nie widzę. Gdzie może być święty Klemens?”

Młody kleryk stojący obok objaśnił go, że czcigodna relikwia znajduje się na górze, w *gorejącej kaplicy*.

„Co to jest gorejąca kaplica?” – pomyślał Julian.

Ale nie chciał pytać i patrzył ze zdwojoną uwagą.

W razie odwiedzin panującego etykieta nie pozwala, aby kanonicy towarzyszyli biskupowi. Ale ruszając w pochód do *gorejacej kaplicy*, biskup skinął na księdza Chélan; Julian ośmielił się iść za nim.

Przebywszy długie schody, dotarli do małych, ale wspaniale wyłożonych drzwiczek; wyglądały na to, że przepych ich datuje ledwie od wczoraj. Przed drzwiami klęczały dwadzieścia cztery dziewczęta z najprzedniejszych rodzin w Verrières. Nim otworzono drzwi, biskup ukląkł wśród tych ładnych dziewczątek. Modlił się głośno, one zaś nie mogły dość napodziwiać jego pięknych koronek, jego wdzięku, jego młodej i słodkiej twarzy. Widok ten oszołomił do reszty naszego bohatera; w tej chwili byłby się bił za inkwizycję i to szczerze. Naraz otworzyły się drzwi. Kapliczka ukazała się zalana światłem. Na ołtarzu płonęło przeszło tysiąc świec w ośmiu szeregach oddzielonych bukietami; Słodki zapach najczystszego kadzidła wychodził kłębamii z sanktuarium. Kaplica, wyłożona świeżo, była mała, ale bardzo wysoka. Julian zauważył na ołtarzu świece mające przeszło piętnaście stóp. Dziewczęta nie mogły wstrzymać okrzyku podziwu. Do przedsionka wpuszczono tylko dwadzieścia cztery dziewczęta, dwóch proboszczów i Juliana.

Niebawem wszedł król samotrzeć²⁷ z panem de la Mole i wielkim ochmistrem. Nawet straż została zewnątrz, na klęczkach, prezentując broń. Wówczas dopiero Julian,

²⁷ samotrzeć (daw.) – sam w towarzystwie dwóch osób; we trzech. [przypis edytorski]

przyklepiony do złoconych drzwi, ujrzał ponad obnażone ramię młodej panny śliczny posążek św. Klemensa. Był ukryty pod ołtarzem, w stroju młodego rzymskiego żołnierza: na szyi miał szeroką krwawą ranę. Artysta przeszedł tu sam siebie. Gasnące, ale pełne wdzięku oczy były przymknięte. Lekki puszek zdobił czarujące usta, które w pół otwarte jeszcze zdawały się modlić. Na ten widok młoda panna klęcząca obok zalała się gorącymi łzami; jedna łza padła na rękę Juliana.

Po chwili modłów wśród najgłębszej ciszy, zmaconej jedynie odległym dźwiękiem dzwonów w sąsiednich wsiach na dziesięć mil wkoło, biskup poprosił króla, aby mu wolno było przemówić. Niedługą, bardzo wzruszającą mówkę zakończył słowami prostymi, ale sprawiającymi tym niezawodniejsze²⁸ wrażenie.

– Nie zapominajcie nigdy, młode chrześcijanki, żeście widziały jednego z największych królów świata na kolanach przed sługami wszechmocnego i straszliwego Boga. Owi słudzy, słabi, prześladowani, mordowani na ziemi, jak to widzicie z krwawiącej jeszcze rany św. Klemensa, święcą triumf w niebie. Nieprawdaż, młode chrześcijanki, zapamiętacie na zawsze ten dzień, będziecie nienawidziły bezbożników? Zawsze będziecie wierne temu wielkiemu, straszliwemu, ale tak dobremu Bogu.

Z tymi słowy biskup podniósł się z powagą.

– Przymierzacie? – rzekł, wyciągając natchnionym gestem ramię.

– Przymierzamy – odparły dziewczęta, zalewając się łzami.

²⁸ niezawodniejsze – dziś popr.: bardziej niezawodne. [przypis edytorski]

– W imię straszliwego Boga przyjmuję wasze przyrzeczenie!
– dodał biskup grzmiącym głosem. Ceremonia skończyła się.

Sam król płakał. Dopiero w długi czas później Julian ochłonął na tyle, aby spytać, gdzie znajdują się kości świętego przysłane z Rzymu Filipowi drugiemu, księciu Burgundii. Pouczono go, że są ukryte w ślicznej woskowej figurze.

Jego Królewska Mość raczyła pozwolić panienom, które towarzyszyły Jej do kaplicy, aby nosiły czerwoną wstążkę z wyhaftowanym napisem: *Nienawiść bezbożnikom, wiekuista adoracja.*

Pan de la Mole kazał rozdać między wieśniaków dziesięć tysięcy butelek wina. Wieczorem w Verrières liberałowie iluminowali okna sto razy wspanialej niż rojaliści. Przed odjazdem król złożył wizytę panu de Moirod.

XIX. Myśl rodzi cierpienie

*Pocieszność codziennych wydarzeń zastania wam
wprawdzie niedole namiętności.*

Barnave

Przywracając do dawnego porządku meble w pokoju, który zajmował pan de la Mole, Julian znalazł ćwiartkę grubego papieru złożoną we czworo. Wyczytał na pierwszej stronie u dołu:

Do J. E.²⁹ margrabiego de la Mole, para Francji,
kawalera orderów, etc.³⁰, etc.

Było to podanie wypisane niewprawnym pismem kucharki.

„Jaśnie wielmożny Panie Margrabio!

Całe życie byłem wierny zasadom religii. Przebyłem bombardowanie Lyonu w czasie oblężenia, w roku haniebnej pamięci 1793. Przyjmuję komunię, bywam co niedzielę na mszy w parafialnym kościele. Nigdy nie poniechałem wielkanocnej spowiedzi; nawet w ohydnej pamięci roku 1793. Kucharka moja (przed rewolucją miałem liczną służbę!) pości co piątek. Cieszę się w Verrières powszechnym i, mogę powiedzieć, zasłużonym szacunkiem. Na procesji idę pod baldachimem obok

²⁹ J. E. – Jego Ekscelencji. [przypis edytorski]

³⁰ etc. (łac. *et caetera*) – i tak dalej, i tym podobne. [przypis edytorski]

księdza proboszcza i pana mera. W wielkie uroczystości niosę grubą świecę, zakupioną z własnych funduszków. Świadectwa na to wszystko znajdują się w Paryżu w ministerium finansów. Upraszam J. W. margrabiego o powierzenie mi kantoru loterii w Verrières, który niebawem zawakuje w ten czy inny sposób, ile że dzierżawca jego jest chory, przy tym głośuje niełojalnie podczas wyborów, etc.

De Cholin".

Na marginesie dopisek pana de Moirod:

„Miałem zaszczyt przemówić wczoraj w przedmiocie niniejszej prośby etc.”

„Tak więc nawet ten głupiec de Cholin wskazuje mi drogę, po której należy iść” – rzekł do siebie Julian.

W tydzień po przyjeździe króla wśród niezliczonych kłamstw, wniosków, pociesznych dyskusji, których przedmiotem byli kolejno król, biskup, margrabia de la Mole, dziesięć tysięcy butelek wina, katastrofa pana de la Moirod, który w nadziei orderu przesiedział w domu cały miesiąc po wypadku, najdłużej była komentowana niewłaściwa obecność Juliana Sorel, syna cieśli, w gwardii honorowej.

Trzeba było posłuchać na ten temat zubożonych³¹ fabrykantów, którzy od rana do wieczora aż chrypli w kawiarniach, rozprawiając o równości! To owa wyniosła dama, pani de Rênal, była sprawczynią tej ohydy. A powód? Ładne oczy

³¹ *zubożony* – dziś: *wzubożony*. [przypis edytorski]

i świeży buziak młodego kleryka dopowiadały reszty.

Wkrótce po powrocie do Vergy najmłodszy z chłopców, Stanisław, dostał gorączki. Panią de Rênal ogarnęły straszliwe zgrzyzoty sumienia. Pierwszy raz zaczęła się zastanawiać nad swą miłością i wyrzucać ją sobie; zrozumiała jakby cudem ogrom występku, do jakiego dała się pociągnąć. Mimo że z natury religijna, do tej chwili nie pomyślała, czym jest jej zbrodnia w obliczu Boga.

Niegdyś, w *Sacré-Coeur*, kochała Boga z całą namiętnością; teraz drżała przed nim w ten sam sposób. Walki rozdierające jej duszę były tym straszliwsze, iż umykały się zupełnie działaniu rozumu. Julian przekonał się, że najłżejsze rozumowanie drażni ją miast uspakajając: widziała w nim podszept diabelski. Ponieważ i Julian kochał małego Stasia, lepiej rozumieli się, rozmawiając o jego chorobie. Niebawem przybrała ona poważny charakter. Wówczas nieustanne wyrzuty odjęły pani de Rênal wręcz możliwość snu; zacięła się w jakimś upartym milczeniu; gdyby otwarła usta, to po to, aby wyznać swą zbrodnię przed Bogiem i ludźmi.

– Zaklinam cię – powtarzał Julian, gdy zostali sami – nie mów do nikogo; niech ja sam będę powiernikiem twych cierpień. Jeśli mnie kochasz jeszcze, milcz; twoje słowa nie zmniejszą gorączki biednego Stasia.

Ale perswazje zostały bez skutku; pani de Rênal mówiła sobie, że aby uśmierzyć gniew zazdrosnego Boga, trzeba jej znienawidzić Juliana albo też być przygotowaną na śmierć syna.

Czuła, że nie może znieawidzić kochanka i dlatego była tak nieszczęśliwa.

– Uchodź ode mnie – rzekła jednego dnia – na miłość boską, opuść ten dom: to twoja obecność zabija mego syna. Bóg mnie karze – dodała ciszej – on jest sprawiedliwy, korzę się przed jego sprawiedliwością: zbrodnia moja jest straszna i ja żyłam w niej bez wyrzutów! To pierwszy znak, że Bóg mnie opuścił: mam być podwójnie ukarana.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.